ARTYSTA.

„Gazeta Polska." Tom 5 (XVIII).

Juliusz Breton.

ARTYSTA

(SAVARETTE).

przekład z francuskiego.

WARSZAWA
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej"
Druk J. Sikorskiego Warecka 14.

1899.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 7 Января 1899 года.

Juliusz Breton.

Juliusz Breton, jeden z najwybitniejszych malarzy francuskich, jednocześnie zajmuje poczesne miejsce we współczesnej literaturze. Breton urodził się w Courrières w Pas-de-Calais, w r. 1827. Studya malarskie odbywał pod kierunkiem Feliksa de Vigne i Drollinga. Na szersze pole działalności wystąpił w r. 1849 i niebawem zwrócił na siebie powszechną uwagę; w obrazach jego tkwi szczera miłość natury, którą zna i obserwuje z sumiennością nadzwyczajną. Pojmuje on dobrze, że artysta nie powinien wychodzić poza szranki swojej sztuki, gdyż w przeciwnym razie grozi mu maniera i wynaturzenie. Lecz jednocześnie Breton uznaje, że idea może i powinna istnieć w obrazie, o ile tylko możliwą jest rzeczą wyrazić ją zapomocą malarstwa. Obrazy Breton'a nie są też prostemi fotografiami z natury, zawsze jest w nich myśl, oddana w granicach, jakie zakreśla so-

bie sztuka malarska z samej natury swojej. Odznaczają się one przytem znakomitą techniką, doprowadzoną nieraz do mistrzowstwa.

Nic też dziwnego, że Breton pracą niezmordowaną i studyami wszechstronnemi zdobył sobie wielkie uznanie. Wśród bardzo znacznej liczby jego obrazów znajdują się rzeczy o niepospolitej piękności i oryginalności pomysłów. I wiele z nich zdobi dziś ściany muzeów francuskich. Między innemi, w Galeryi Luksemburskiej znajdują się jego dzieła następujące: „Les Glaneuses,“ „La Bénédiction des blés,“ „Le Rappel des Glaneuses.“

Znacznie mniejszą jest produkcya literacka Breton'a. Z rzeczy najwybitniejszych należy zanotować: „Les Champs et la mer“, zbiór poezyi, poemat pod tytułem „Jeanne,“ następnie bardzo ciekawe są jego powieści i szkice artystyczne, jak „Vie d'un artiste“, „Art et Nature“, „Souvenirs de jeunesse,“ „Impressions d'Art“ i ostatnia powieść „Savarette.“

W powieściach swoich Breton porusza kwestye, najmniej znane ogółowi, lub też przedstawiane zazwyczaj w sposób pospolity i pobieżny. To życie artystów, tylokrotnie karykaturowane, u Breton'a występuje w barwach naturalnych i pełnych życia. Czytelnik spotka tam mnóstwo najpiękniejszych myśli o sztuce i bardzo głębokich poglądów na świat i życie... Powieść, którą obecnie podajemy, jest, jak mniemamy, dobrym nabytkiem dla naszej literatury, gdzie w ostatnich latach rozpanoszyło się zbyt wiele rzeczy banalnych i błahych.

WSTĘP.

O mojej bohaterce.

Zbytecznem byłoby mówić, że osoby, w tej powieści występujące, stworzyła wyobraźnia według rozmaitych wzorów, obserwowanych z natury, że wzory te brałem z różnych typów, jakie w życiu dokoła siebie spotykałem; ale myliłby się ten, ktoby w nich chciał widzieć portrety osobistości znanych.

O bohaterce mojej powiem krótko: wywołało ją jedno z najmilszych wrażeń, jakich w życiu, jako artysta, doznałem.

Gabryela w powieści jest postacią, z dawnych wspomnień odgrzebaną. Istniała ona w rzeczywistości, wprawdzie w innym czasie, nie w chwili mego opowiadania, i w życiu jej odmienne, niż w powieści, towarzyszyły warunki; ale posiadała te wszystkie piękne przymioty ducha, które w osobie Gabryeli przedstawić chciałem.

Przedstawiłem ją tu ze wspomnień, po pięćdziesięciu latach.

Nic o niej przez tak długi czas nie wiedziałem, i powieść moja była już skończona, gdy przypadek zdarzył, że się wszystkiego dowiedziałem. Mówiłem o niej i scharakteryzowałem ją jedynie z własnej intuicyi i pod wpływem zachwytu, jaki niegdyś we mnie wzbudziła. O radości! okazało się, że się nie myliłem, że odgadłem tę niebiańską duszę w całej jej doskonałości.

Najprzód opowiem, jak ją spotkałem.

Było to w roku 1847. Od niedawna bawiłem w Paryżu. Rzecz prosta, chodziłem do Luwru; młodzież uczęszczała jeszcze do muzeów, bo wówczas nie posiadaliśmy umiejętności wrodzonych.

W wielkiej galeryi, znacznie dłuższej, niż teraz, bo ciągnęła się aż do pawilonu Flory, ta młoda, skromna dziewczyna, wolna od wszelkiej próżności, bez kokieteryi, o powierzchowności zachwycającej i z rzadkim talentem, kopiowała pastelami „Syreny“ Rubensa. Oddana swej sztuce, pracowała z zapałem, obojętna na tłum, co nieustannie otaczał jej stalugi: zdawało się, że jest nie z tego świata.

W jej twarzy, ozdobionej splotami czarnych włosów, był jakiś wdzięk anielski.

Nie starałem się nigdy dowiedzieć czegokolwiek o niej, nie pytałem o nią nikogo, bo chciałem w pamięci zachować jej postać taką, jaką moja wyobraźnia stworzyła. Czyż wszelka ciekawość nie byłaby uchybieniem dla przedmiotu, który, jak bóstwo, czcimy?...

Uważałem ją za istotę wyższą, którą nie godziło się zajmować w sposób powszedni, pospolicie w świecie przyjęty.

I po upływie pół wieku, ożyła w mej pamięci ta postać, wyidealizowana w marzeniu, a na dnie duszy przechowana. Obraz jej unosił się niewyraźnie między Laurą a Beatryczą i na jednym z niemi planie. Lecz kiedy ją, jako żywy symbol piękna, przedstawić zamierzyłem i przywołałem jej obraz, wówczas ukazała mi się wyraźnie, opromieniona jasnym blaskiem mych wspomnień.

Na jej podobieństwo stworzyłem moją bohaterkę, dając jej piękność, talent i serce tamtej.

Umarła biedaczka! Znam ją teraz i wiem, że w postaci Gabryeli dałem wierne odbicie jej charakteru i przymiotów, ale niestety! życie jej inną zupełnie popłynęło drogą, niż życie mojej Gabryeli; dla tamtej było ono pasmem cierpień, a dla tej uśmiechem szczęścia.

Ale posłuchajcie:

W czasie zajęć ostatniego *jury* malarskiego zebraliśmy się na śniadanie w gronie kolegów u Ledoyen'a; ja siedziałem obok Henryka Lewy, którego znakomity talent malarski jest powszechnie znany. Wkrótce rozpoczęliśmy rozmowę o naszych pracach. Ja mówiłem mu o mojej powieści i o tem dziewczęciu, które, przed 50 laty, tak doskonale odtworzyło „Syreny" Rubensa.

— Co? „Syreny" Rubensa!—wykrzyknął Lewy zdziwiony, po chwili zaś dodał:—Ta młoda osoba, którą wówczas znałeś, to była Delfina Bernard; ja jestem jej siostrzeńcem.

— Ależ ja jej nie znałem—odrzekłem niezmiernie zdziwiony—ja ją tylko widziałem.

— I dotąd jej nie zapomniałeś?

— Nietylko, że nie zapomniałem, lecz uwielbiam dotąd jej anielską duszę, którą z pięknego oblicza odgadłem, i zrobiłem ją bohaterką mojej powieści. Jest ona tam doskonałym symbolem najpiękniejszego ideału.

— Istotnie godną była tego, powiedział Lewy, gdybyś pan wiedział, jakeśmy ją kochali, i ja, i jej siostra! dziś czcimy jej pamięć!

Potem dodał wzruszony:

— Zawsze była śliczna, nawet wtenczas, kiedy dotknięta już była chorobą, która ją zabiła!

Więc umarła, pomyślałem...

Łatwo wyobrazić sobie można, jak pilno mi było iść do Lewy'ego.

Oznaczyliśmy dzień. Poszedłem. W pracowni jego rozmawialiśmy o niej długo. Poznałem jej historyę, dowiedziałem się o jej nadzwyczajnem zamiłowaniu piękna, o niezwykłych zdolnościach artystycznych, o jej chorobie, cierpieniach i śmierci. która zwolna się zbliżała i, nie mogąc zachwiać jej niebiańskiej duszy, wytrąciła jej ołówek z ręki, a pozbawiwszy ją sił do pracy, odebrała chęć do życia.

Biedna istota! żyć przestała wtenczas właśnie, kiedy jej się zasłużona uśmiechnęła sława!

Umarła w kwiecie wieku... ale silna wiara i zamiłowanie piękna tej wybranej duszy zapewnić musiały chwałę tam... gdzieś wysoko po za grobem...

Tak czyste uczucia i szlachetne dążenia bez nagrody pozostać nie mogą.

Zdawało mi się, że jestem igraszką snu. Widziałem ją obok nas, jakby żywą, na tym portrecie, który wykonała sama, mając lat 16, a jakkolwiek widać, że talent jej jeszcze się wtenczas w całej nie rozwinął si-

le, jednak wydała mi się tam tak samo piękną, jak w roku 1847. Tuż obok był portret młodego człowieka, wykonany przez nią w trzy lata potem; podziwiałem go, namalowany był z siłą wielką i werwą prawdziwie męską.

Lewy namówił mnie, by z nim razem iść do jej siostry, a podczas gdy on do wyjścia się wybierał, mnie dał do obejrzenia trzy albumy Delfiny, w których znalazłem mnóstwo szkiców, przypominających mi moją młodość.

Siostra jej, uradowana, że o drogiej zmarłej mówić ze mną mogła, pokazywała jej rysunki, będące ozdobą salonu.

— Jeżeli pan zechce poświęcić jeszcze trochę czasu—powiedziała—to panu pokażę w tamtym pokoju jedną rzecz, która pana pewno zajmie:

Zacząłem nalegać, spoglądając na drzwi tajemnicze, prowadzące do tego pokoju.

Otworzyła je...

Z najwyższem zdziwieniem ujrzałem „Syreny", świeże, pływające, przecudne, te same, które niegdyś odtwarzane przez nią w Luwrze widziałem.

Ale nie na tem koniec. Powierzono mi drogą jak relikwie pamiątkę: cały zbiór listów. Znalazłem w nich dużo szczegółów, z pomocą których moralną stronę charakteru mojej bohaterki lepiej i dokładniej wykazać mogłem; nadto jeszcze, w listach tych zauważyłem tę samą myśl przewodnią, jaką i ja się w mej powieści kierowałem.

Oto jest ustęp z jej listu do przyjaciółki, którą czule swoją Rózią zowie. Pod datą 26 października 1855 r. pisze:

„Weszłam do kościoła, gdzie jakiś znakomity artysta grał na organach, żałuję, że nie mogłam zaraz, pod wpływem doznanego wrażenia, pisać do ciebie. W kościele myślałam o tobie, myślałam o wszystkiem, co piękne i dobre“. A dalej mówi, że gdyby często bywała obecną na takich uroczystych i wzruszających obrzędach, poświęciłaby się zupełnie dobrym uczynkom i wyrzekłaby się wszystkich marności, które temu na przeszkodzie stoją.

Potem znów pisze: „Widzisz, Róziu droga, Paryż ma swoje życie i swoją piękność, polubić je można, ale żyje się tu w zbyt silnym wirze. Tu—odrywa się człowiek od rzeczy ważnych, dla spraw mało znaczących, i w nich się gubi.“

Gdy to pisała, już była chora, bo list swój kończy temi słowy: „Zdaje mi się, rada twoja była dobra, że idąc za nią, odzyskuję życie; przekonywam się, iż nigdy lepszego nad ciebie nie miałam doradcy. Tylko ten doradca mógłby uczynić mnie bardzo dumną, gdybym nie miała przekonania, że go zaślepia przyjaźń i dlatego samo tylko dobre we mnie widzi.“

„Na tym punkcie, nasze pojęcia się różnią, według mnie przyjaźń nie zaślepiać, lecz powinna otwierać oczy i wykazywać to nawet, co się z przed oczu obojętnych wymyka; żeby zrozumieć, trzeba kochać.“

Po dłuższym pobycie w Paryżu, jakaż tęsknota za swobodą i naturą: „Naprzeciw mojej pracowni, — pisze — widzę na murze odbicie światła słonecznego i cieni, wydaje mi się to dziwnie piękne i—odmalowaćbym je chciała. Jakże inaczej a pięknie być musi teraz wśród zielonych drzew, na rozległej przestrzeni!“

Lecz tego już nigdy w życiu nie miała zobaczyć!

O! niechaj z nieba rzuci spojrzenie przyjazne na swego starego i zawsze wiernego wielbiciela! Jeżeli udało mi się odmalować ją wiernie, to mieć będę wewnętrzne przekonanie, iż spełniłem to, co się jej należało.

Ona tam pewnie, wśród nieskończoności piękna, jaśnieje, jako jedna z tych rzadkich postaci, które płomień wewnętrzny pochłonął. Ztamtąd z litością spogląda na ziemię.

A ja do niej wołam: Ty, która jesteś moim wzorem i natchnieniem, ożyj w postaci Gabryeli i tchnij życie w tę książkę moją.

ROZDZIAŁ I.

Janek.

W miejscowości pięknej, Savarette, artysta malarz spał na trawie. Wioska ginęła wśród gąszczu osiczyny, wiązów i wierzb.—Leżała ona między łąkami, wyzłoconemi mnóstwem żółtego kwiecia. Prócz ptactwa drobnego, głośnego krzyku srok, urywanej rozmowy na folwarku i nieustającego szumu młyna nic więcej słychać tam nie było. Gęste gałęzie drzew tworzyły tajemnicze, ciemne sklepienia, przez które gdzieniegdzie przedzierały się łagodne promienie słońca i rzucały światła i cienie na rzeczkę, mającą zale-

dwie kilka stóp szerokości. Rzeka ta, pokryta kępami podłużnych, lśniących liści, wiła się wstęgą srebrzystą, objęta kwiecistymi brzegami. Płynąc, poruszała, rosnące wysoko, rośliny i trawy, a te za każdym ruchem wody pochylały swe głowy, jak gdyby chciały oddać pokłon własnemu obrazowi, odbijającemu się w wodzie. Kiedyniekiedy woda, silniej poruszona, tryska w górę kroplami opalowemi, zdradzając w ten sposób obecność ukrytego na dnie węgorza.

Ferma dość obszerna, lecz przysłonięta drzewami, które ją otaczają, wraz ze swemi zabudowaniami gospodarskiemi, zarysowuje się niewyraźnie. Panuje ona nad sąsiedniemi chatami, które tulą się do niej, jak gdyby jej opieki wzywały.

Na ścianach folwarku, tynk, niegdyś biały, poczerniał od pleśni i odpada, a odpadając zostawia żółte plamy; ściany u dołu smołą posmarowane, a u stóp ich pokrzywy rosną gęsto i bujnie.

Młyn należący do folwarku, swą wdzięczną wiejską prostotą dopełnia obrazu w rodzaju tych, jakie malowali tacy artyści, jak Ruisdaël i Hobbema.

Savarette z niemałem zadowoleniem wynalazł to miejsce, położone tak blisko miasteczka H . . , które obrał sobie za punkt środkowy w swych artystycznych wycieczkach. O każdej porze mógł tam przebywać, kiedy tylko zechciał.

Lubił to cicbe ustronie o wschodzie słońca, kiedy wierzby pochylają się nad rzeką, jakgdyby płakały, rozczulone pieszczotą pierwszych różowych promieni, tak szybko niknących i kryjących się po za ciemne gałęzie, zroszone perłami mokremi.

Woda przezroczysta dymiła parą; płynąc cicho, zatrzymywała się w sadzawce przy młynie, potem

z szumem spadała na czarne koło, które ją rozpryskiwało i zamieniało w srebrzysty obłok; drobne jej kropelki, opadając, zraszały wszystko dokoła, i przy blasku promieni słońca, które się już w górę podniosło, błyszczały olśniewająco, jak kryształy. Później nieco, gdy słońce poczynało dogrzewać, ta biała rosa znikała zwolna; na obracające się koło młyńskie padała jasna smuga światła i obsypywała je błyszczącemi iskrami, a promienie słońca, przedzierając się przez gałęzie drzew, dachy i ściany pokrywały silnemi blaskami, na których rysowały się cienie olbrzymie.

Savarette zaczął malować studyum z tej fermy; gdakanie kur, bełkotanie indyka, donośne pianie koguta nie przeszkadzało mu w pracy, owszem sprawiało pewną przyjemność.

Było mu tam dobrze, doznawał błogiej rozkoszy, i w niej się rozpływał, jak sybaryta.

Chcąc ze swego studyum zrobić coś niezwykłego i jakieś niezwykłe odmalować w niem piękno, opóźniał wykończenie swej pracy; niezadowolony z tego, co malował, przerabiał i poprawiał bez końca. Była to praca Penelopy i, jak ona, psuł i cofał robotę.

Wreszcie, rozgniewany na swoje niedołęztwo i podrażniony nerwowo, pewnego poranku postanowił wykończyć tę niewdzięczną pracę. Lecz zmęczony daremnem usiłowaniem, uczuł nieprzezwyciężoną potrzebę snu, położył się pod wierzbami i zasnął.

Przebudziwszy się, ujrzał ośmio czy dziewięcioletniego chłopca, grzebiącego w jego pudle. Przymknął powieki; udał, że śpi i obserwował malca. Chłopiec był niespokojny i co chwila spoglądał na artystę.

Chłopczyna z jasną główką i niebieskiemi oczyma, popychany ciekawością, brał tuby z farbą jedną po drugiej; odkręcał każdą, oglądał uważnie, jaki w niej kolor, potem ją zakręcał starannie i ostrożnie napowrót w właściwem kładł miejscu. Obejrzawszy dokładnie paletę, odsunął się w tył o dwa kroki i porównywać zaczął otaczający go krajobraz z tym, jaki widział przed sobą namalowany na płótnie. Ubranie na nim z sukna ciemnego było czyste, musiał to być prawdopodobnie syn jakiegoś zamożnego wieśniaka.

Savarette poruszył się, a chłopiec uciekł i znikł w drzwiach domu folwarcznego. Malarz podążył za nim, lecz na podwórzu nie było nikogo, tylko kury grzebały na śmietniku i nad gołębnikiem unosiło się stado gołębi, a z ich skrzydeł padały na ziemię białe pióra, jak płaty śniegu.

Nazajutrz dzierżawca folwarku przechodził koło malarza, ten powstał i poprosił go o jakieś objaśnienie; był to tylko pozór, bo w istocie szło mu o co innego; chciał on od niego powziąć wiadomości o chłopcu, który go zaintrygował, niewiadomo dlaczego.

— Ach! Panie, to mój Janek — odpowiedział wieśniak. Dobry chłopiec, ale roztrzepany. Jest ładny, ale obawiam się, że z niego nie będzie nic porządnego, z powodu jego roztargnienia. Siada często tam, na tej łące, i może tak kilka godzin przesiedzieć, patrząc tylko na bydło. On zabawek nie potrzebuje; jak dostanie trochę pieniędzy, to kupi papieru i ołówek i rysuje. Utrzymują, że ma w tem upodobanie; drzwi i ściany pełne są jego bazgrot; czasem narysuje konia, czasem indyka, albo też naszego służącego, z nosem na trzy stopy długim. Wczoraj, na-

przykład, musiałem go zbudzić, bo zamiast napisać zadaną lekcyę, śledził pana przez okienko w murze. A ponieważ widział, że pan zasnął, ośmielił się... No, bądź pan spokojny, już ja mu dam za to dobrą naukę!

Savarette prosił go, by syna za to nie karał. Pan Gerard (tak się nazywał dzierżawca) zaprosił na szklankę piwa, malarz przyjął zaproszenie i poszli razem.

P. Gerard miał około lat 40, zaczynał już siwieć, a z pomiędzy faworytów wyglądało oblicze surowe, lecz sympatyczne. Pełnił w swej wiosce obowiązki pomocnika mera z tego miasteczka, gdzie malarz chwilowo zamieszkał.

Janek uczył się lekcyi w kuchni, ale gdy tylko spostrzegł ojca, idącego z gościem, uciekł i schował się do stodoły. Gospodarz kazał Janka poszukać.

Niełatwo było go znaleźć, a trudniej jeszcze przyprowadzić, tylko siłą można było tego dokonać. Janek zawstydzony, wszedł do pokoju, oczy ręką zakrywając. Chłopiec obawiał się surowego napomnienia, to też zdziwienie jego było niemałe, gdy Savarette przemówił do niego łagodnie i przyobiecał dać pięknych różnokolorowych ołówków. Po chwili już między nimi zawiązał się stosunek przyjazny.

ROZDZIAŁ II.

Dzieciństwo malarza.

Janek urodził się w dostatku, i w miejscowości cichej, najodpowiedniejszej dla rozwoju kiełkującego talentu, jakim go natura obdarzyła. Grunt, na którym wzrastał, był sprzyjający.

Jak ptaszęta drobne, blaskiem jutrzenki zbudzone otwierają oczy i z zachwytem spoglądają na wszystko, co je otacza, podobnie na widok pięknej natury budziła się dusza Janka, a przed jego oczyma przesuwały się jakieś niepochwytne marzenia o życiu. I jego oczy, do bławatków w zbożu podobne, z zachwytem patrzyły na wszystko, co go otaczało: na niebo wysokie, na horyzonty szerokie, na dachy słomiane i bielone ściany stodół.

Pierwszymi jego przyjaciółmi były zwierzęta, pies podwórzowy, drób, bydło i wszelkie stworzenia, które nie mogły mu dać złych przykładów. Lubił wszystkie owady, zarówno te, które spotykał na podwórzu, jak i te, co były w ogrodzie, pomału uczył się je rozpoznawać, lubił ptaki i wiedział, gdzie są ich gniazda, lubił i świerszcza, który wieczorem swą grzechotką wydawał odgłos donośny.

Gdy na zachodzie gasły ostatnie promienie słońca, a żaby swą wieczorną rozpoczynały muzykę, myśli Janka biegły w dal, tam na moczary, gdzie żaby

mieszkały w niezliczonej liczbie, tam, zkąd ich rozhowory i skargi płynęły najprzód głośnemi falami, a potem cichsze, i cichsze konały w bagnie.

Myśli i uczucia budziły się w nim wcześnie. Uczucie nienawiści żywił jedynie dla istot szkodliwych, ze szczurami, tchórzami i leśnemi myszami chętnie wojnę toczył. Kiedy snopy zboża ze stogu zabierano, warto było widzieć, z jaką żarliwością ścigał i zabijał myszy. Nie było to rzeczą trudną, ale na tchórze trzeba było formalną urządzać obławę, Wszyscy ludzie folwarczni do tego bywali użyci. Służący, którego nos znany nam jest z rysunku Janka, najpierwszy zawsze wyśledził w jakimś zakątku stodoły, albo na poddaszu kryjówkę tego nieprzyjaciela kur. Wszyscy wtenczas rozbiegali się po podwórzu i strzegli wyjść wszystkich. A w chwili, gdy szkodnika z gniazda wypłoszono, wszyscy ruszali w pogoń za nim. Ścigane zwierzę próbuje różnych zwrotów i podskoków i albo mu się uda uratować ucieczką, prześlizgnąwszy się zręcznie pomiędzy nogami swych wrogów, albo też, przyparty gdzieś do kąta, ginie nędznie pod razami kijów.

Zabitemu Janek się przypatrywał, lecz go nie żałował, bo to był szkodnik; podziwiał tylko jego piękne futro. Janek wcześnie umiał odróżniać złe od dobrego i zrozumiał, że sprawiedliwym należy się nagroda, a złym ludziom i szkodliwym zwierzętom kara wymierzona być powinna. Że niewinny drób zabijano, to nie oburzało go wcale, potrzebą jedzenia usprawiedliwiał tę srogą konieczność.

Ale Janek nie należał do liczby tych, co przy zabijaniu lubią być obecni, co przypatrują się chętnie, jak biedne zwierzę pod okrutnym nożem pada

i powoli kona w kałuży krwi. Od podobnych tragedyi trzymał się Janek zdaleka. Był więc dobrym chłopcem... tylko leniwym; nie było, naprzykład, sposobu zmusić go do wyuczenia się lekcyi. Często zdarzało się, że gdy do niego kto przemówił, on robił wrażenie, jakgdyby spadł z księżyca, a służący, chociaż go bardzo lubił, zauważył jednak kiedyś, że dla człowieka tak rozumnego, jakim jest p. Gerard, wielkiem jest nieszczęściem mieć jedynego syna, któremu czegoś brak.

W istocie spotykano go często, jak nieruchomy, z ustami otwartemi stał i wpatrywał się w rozpadliny starego muru... a najbardziej zastraszającem było to, że utrzymywał, iż tam w nich coś widzi. Czytać uczył się długo, ale pisać i dobrze pisać nauczył się prędko.

Kiedy miał już lat 9 i trzeba było pomyśleć o przygotowaniu go do szkoły, wikary miejscowy ofiarował się uczyć go łaciny; chłopiec, chcąc nie chcąc, musiał się tej konieczności poddać.

O godzinie ósmej, związawszy książki rzemykiem, wychodził z domu. Szedł drogą; przy drodze rosła grabina, kwitły głogi pachnące, tysiące pszczół zbierało pożywienie, a ptactwo swym śpiewem głosiło wiosnę. Ach! te książki, chociaż lekkie, jakże one mu ciężyły, jak byłby rad rzucić je za płot!

Pewnego dnia wpadły w kanał pełen błota: wysunęły się z pod rzemyka, który je niedość mocno trzymał, wiatr rozwiał kartki i powalały się tak, że nie śmiał się pokazać wikaremu... i sam nie wiedział, jak się to stało, czy upadły przypadkiem, czy może upuścił je umyślnie... Poszedł dalej do strugi, żeby w niej obmyć książki; ale woda była tak piękna, i nad

nią kwitnące białe kwiatki, i drobne owady, co w zręcznych podskokach wesoło igrały, nakoniec słońce, rzucające światło na te lasy mchów, to wszystko tak się do niego swem pięknem uśmiechało, że choć wszystko znał dobrze, nie mógł się jednak dość napatrzeć.

Obmył książki, jak mógł najlepiej, ale przytem zamazał niektóre litery i rozdarł kilka kartek.

Czuł jakiś niepokój, może to był głos sumienia, a może tylko obawa powrotu do domu... Ojciec się rozgniewa... ale w jaki sposób on swój wypadek przed nim usprawiedliwi? popatrzył znów na wodę, pływały w niej maleńkie rybki, ciernikami zwane, miały skrzela czerwone, podobały mu się, zaczął je chwytać i zapomniał, że czas szybko bieży.

Innym znów razem zdawało mu się, że go głowa boli i leżał w łóżku, a leżąc, myślał o wielu pięknych rzeczach, lub, zapatrzony w górę, wzrokiem śledził rój much, które, igrając pod sufitem, latały i różne zakreślały w swym locie zygzaki. Potem błyszcząca od słońca sadzawka odbijała z zewnątrz swe ruchome fale na ścianie, wapnem pobielonej, to go zajęło, potem jeszcze patrzył na przesuwające się i niknące cienie przechodzących na podwórzu. Nakoniec brał kajet i rysował coś z pamięci.

Nie zawsze jednak, z powodu lenistwa, leżał w łóżku, zdarzało się, że naprawdę był chory. Wtenczas coś mu w uszach świszczało, głosy, z podwórza dochodzące, wydawały mu się dziwne i nieznane, widział jakieś odrażające twarze, które mu się wykrzywiały; potem znów przesuwały się przed nim obrazy przyjemniejsze, a nawet bardzo piękne, i Leonka... Ale sza! o tem on myśleć nie chciał.

Zrozumieć łatwo, że wikary niewiele go mógł nauczyć. Zresztą ksiądz mało dbał o to, miał zajęcia inne, ważniejsze niż „Rosa, róża", wyraz, który odmieniał uczeń nieuważny. Chłopiec też, zamiast myśleć o swej deklinacyi, wolał ze stanowiska malarskiego obserwować nauczyciela, więc zajmowała go różowa i połyskująca skóra księdza, jego włosy tłuste, zatłuszczona sutanna, podniesiona na rosnącym brzuchu, jego palce z dołkami i poduszeczkami. Te rzeczy więcej go zajmowały niż łacina, a najwięcej zajmowała go matka wikarego, która miała oczy czarne, a rzęsy rude; była to sześćdziesięcioletnia staruszka, niska, otyła, z wąsami. Mówiła mało, ale z niewielu jej słów Janek zebrał dla siebie kilka uwag, które były owocem jego długoletniego doświadczenia, a które on na zawsze zachował w pamięci. Janek lubił także spoglądać na ładną twarzyczkę siostry wikarego, o której mówiono dużo w domu i w okolicy. Była ładna i namiętnie tańczyć lubiła... i nikt nie wiedział, że jedną rękę miała krzywą, tak umiała nią manewrować, to ją chustką zręcznie przysłaniała, to ją w kieszeni ukryła... Ale Janek dostrzegł, że tę małą rączkę natura zeszpeciła i, zestawiwszy piękność twarzy z wstrętną brzydotą kalectwa, zamyślił się nad tem i przykre ogarnęło go uczucie.

Janek z łaciny prawie nic się u wikarego nie nauczył, ale za to jak dzielnie jeździł konno, jak chętnie w gospodarskich zajęciach ojcu pomagał! Idąc ulicą, obserwował przechodniów i wynajdywał w nich podobieństwo nietylko do ludzi, ale i do zwierząt, a nawet do rzeczy, to budziło obawę o jego umysł. Miewał szczególne upodobania i trudne do

zrozumienia antypatye. Fizyczne kalectwa przejmowały go trwogą, samotności nie lubił. Gdy był sam, bał się i uciekał, zdawało mu się, że go dyabli gonią. Utrzymywał, że w dzień Bożego Narodzenia widział żywe Dzieciątko Jezus.

Niedzielą każdą cieszył się bardzo, zdawało mu się, że jest jaśniejsza od dni powszednich. W niedzielę, ubrany czysto w wełnianą bluzkę niebieską z kołnierzem białym, bywał weselszy; może dlatego, że widział na sobie wszystko czyste.

W kościele przejęty był uczuciem zadowolenia i na modlących się patrzył z uszanowaniem, zauważył, że wyraz ich twarzy jest inny w kościele, niż na ulicy. Potem wśród zmieszanego zapachu kadzideł, myślał o Bogu i ogarniał go zachwyt, szczególnie gdy na chórze śpiewał organista, a u ołtarza z nim na przemian stary proboszcz drżącym dyszkantem się odzywał. Nabożeństwo ciągnęło się długo, na dworze słońce świeciło, wróble w szparze przy oknie gniazdo sobie słały. Jankowi powieki ciężyły, przymykał oczy i widział aniołów gromady, a między nimi Leonkę!.. Nie! to nie Leonka... i w końcu zasypiał na dobre.

W dzień Bożego Ciała chętnie pomagał matce i babce przy urządzaniu ołtarza, zawieszał dywany i firanki, ściany zdobił zielenią i kwiatami, a potem, ze służącym wspólnie, drogę posypywał drobnemi zielonemi gałązkami. Kiedy już mógł należeć do grona chłopców, biorących udział w uroczystości, czuł się bardzo szczęśliwym; z jakąż radością, idąc na procesyę, przywdziewał czerwoną sutannę i białą komeżkę, jako sługa Boży.

Zbierając składkę: „Dla kościoła", z dumą przechodził koło swoich rówieśników, ale nie było już między nimi Leonki, tej miłej dzieweczki z buzią różową i oczkami błyszczącemi, jak dwie czarne gwiazdki... Ach i znowu ona?..

Ten skromny wiejski kościołek, z pomalowanemi na ścianach stacyami męki Pańskiej, wydawał mu się niezwykle pięknym w zimie; kiedy w dni świąteczne zapalono wszystkie świece na ołtarzu, tu było tak jasno, a tam na dworze smutno dokoła, niebo szare miotało śniegiem... On wprawdzie lubił bawić się śniegiem, ale tam gdzieś daleko na ubocznych drogach śnieg był złośliwy, ludzi zabijał. Ot w przeszłą niedzielę naprzykład: było to przed mszą, ojciec się golił, a on patrzył na drogę przez okno i zobaczył na wozie Józka, zwanego głupim; leżał wyciągnięty na workach, znaleziono go przy drodze i nieżywego do wsi przywieziono: zmarzł biedak. Pan Gerard, z twarzą mydłem wybieloną zbliżył się do okna, wyjrzał i Janka na bok odsunął, mówiąc: „Nie patrz na to". Ale on i tak widział tego biednego Józefa, leżał zesztywniały, śnieg go przysypał i jakby białym przykrył całunem; obraz ten prześladował go długo. Był on bardzo zmartwiony wtenczas, kiedy zdechła dobra, przywiązana suka, Wierna .. on ją tak lubił, tak przyzwyczaił się do niej, że straciwszy, ją, nie mógł o niej myśleć bez żalu. Ostatniego dnia, przed śmiercią, leżała w kuchni na podłodze, już wcale ruszać się nie mogła, a jeszcze kiedy Janek albo jego ojciec wchodził do kuchni, ona na znak radości ogonem kręciła i uderzała nim o podłogę; w ten sposób serce swe objawiała wtenczas, kiedy prócz serca wszystko w niej już zamarło.

Janek miał jeszcze inne zmartwienie, ale o tem radby zapomnieć; on cierpiał, a wszyscy w domu myśleli, że się to już w pamięci jego zatarło... Boć przecież taki był wesoły, tyle życia było w jego zabawach. Zawsze między chłopcami rej wodził, czy to była mustra na łące, czy chowanka w stodole lub w piekarni, albo w pralni, jak wtenczas, kiedy z Leonką... Ale po co przypominać Leonkę... po co myśleć o tej dziewczynce, która mieszkała tam na końcu wsi... Janek już nigdy tam nie pójdzie, nawet w Wielki Czwartek nie pójdzie tam z koszyczkiem, jak to dawniej bywało... już tam prosić o jajka nie będzie *). Nie, on tam iść nie chce .. Na jej mogile, kwiatami okrytej, wznosi się niewielki drewniany krzyż, Janek widzi go zawsze z poza płotu cmentarnego, ile razy przechodzi tamtędy, na krzyżu zawieszony zawsze wieniec ze świeżych kwiatów.

On kochał ją i przepłakał całą noc po tym dniu nieszczęsnym, w którym ją złożono do ciemnego dołu... Kobieta, która ją wychowywała, bardzo także płakała, chciała się rzucić za nią do dołu, ale ją powstrzymano. Janek dostał drżenia i płakał... Ale to już minęło.

---

*) We Francyi jest zwyczaj, że dzieci wiejskie w Wielki Czwartek chodzą po domach przyjaciół i znajomych i proszą o jaja, a ci chętnie im dają.

ROZDZIAŁ III.

Janek rysuje.

Takim był Janek, mając lat dziewięć, kiedy go Savarette poznał w sposób już nam wiadomy.

Chłopiec go zainteresował, a że i poczciwa prostota pana Gerarda do serca mu przypadła, więc też wkrótce stał się przyjacielem domu.

Savarette znajdował w tym domu rozrywkę po pracy, miłą i pożądaną.

Szczególną zwracał uwagę na zachowanie się małego Janka, w którym już widział swego ucznia w przyszłości. Z wielką uwagą przeglądał jego kajety z rysunkami, które ojciec starannie zachował, chociaż nie przywiązywał wielkiego znaczenia do tej bazgraniny dziecka. Pierwsze z nich sięgały czasu, kiedy Janek miał zaledwie cztery, czy pięć lat. Tam postać ludzka wyobrażona była w ten sposób, że kółko narysowane tworzyło głowę, od niej poprowadzone na dół dwie proste laski przedstawiać miały nogi. O kilka kartek dalej, jeszcze dwie laski dodane wyobrażały ręce, a tło stanowiły linie w najrozmaitszym kierunku poprowadzone; były tam kwadraty proste, ukośne, koła i trójkąty, linie krótkie i długie i różne bazgraniny niezrozumiałe.

A jeszcze trochę dalej, pośród zygzaków, wyobrażających chmury, rozróżnić można było coś na-

kształt woreczków ze skrzydłami, a w nich domyślić się należało aniołków, będących jeszcze w poczwarkach.

Pomału, pomału poczwarki te nabierały kształtów. Ach! jakże to długo trwało, zanim te aniołki z poczwarek wyjść mogły! Inaczej się z nimi działo niż z motylami, których poczwarki Janek trzymał w pudełku, watą wysłanem; te, po krótkim śnie, w swoich brunatnych skorupkach odbytym, wychodziły odrazu piękne i świetnemi barwami jaśniejące.

Przy przemianie aniołków postęp był powolny. Nieznacznie czoło przysłaniać zaczęły pukle włosów, głowy osadzone były na szyjach, a pod szyją nowe kółko tworzyło środkową część korpusu, na końcach dwóch lasek były ręce, podobne raczej do kleszczy lub łopatki, a na końcach drugiej pary lasek osadzone były nogi, które wyglądały, jak motyki. Wkrótce głowy stawały się wyraźniejsze, usta, z zębami w nich osadzonemi, wprzód do grabi podobne, teraz nabierały kształtu.

Przyszła nareszcie kolej na kury i indyki, były tam całe gromady kaczek, były owce, konie i różnego rodzaju zwierzęta, które rozpoznać pozwalała jedynie jakaś wyróżniająca charakterystyczna cecha. W dalszych kajetach rysunki Janka przedstawiały coraz więcej życia i ruchu, była jazda na ośle, łapanie chrąbąszczy, objadki na trawie, powrót jaskółek i nawet z zachowaniem perspektywy. Później następowały typy i sceny niebiańskie, a więc orszaki świętych i chóry cherubinów, dziewice święte i procesye, a dalej różne narzędzia, maszyny, instrumenty muzyczne, jak u Leonarda; nakoniec sceny miłosne, w których chło-

pcy i dziewczynki w ogrodzie, zbierając kwiaty, czule się ku sobie pochylali...

Przez pewien czas w tych obrazkach jedna i ta sama dziewczynka powtarzała się zawsze... w rysunku tej postaci widoczna była jakaś dziwna miękkość. Savarette zauważył to niezawodnie.

Rysunki coraz były lepsze, coraz mniej niekształtne postaci, coraz więcej miały dziwnie pociągającego wdzięku, pomysły były coraz śmielsze, a w przedstawieniu rzeczy widniała prawda.

Chłopiec—artysta rozwinął skrzydła do lotu i wzniesie się z czasem wysoko! Savarette był poruszony, pan Gerard i jego żona dziwili się temu i zrozumieć wzruszenia tego nie mogli.

Zrozumieli je wtenczas, kiedy Savarette, wziąwszy ich na bok, powiedział: „Wasz syn ma wielkie do malarstwa zdolności, jeżeli dalej pracować będzie w tym kierunku, przyrzekam wam, że się nim zajmę, jak tylko chwila stosowna nadejdzie. Tymczasem należy prowadzić jego naukę dobrze. Wikary nie jest dla niego odpowiednim nauczycielem. Oddajcie go do szkoły.

Nie należy sądzić, żeby wszyscy ci chłopcy, co bazgrzą węglem na murze, albo atramentem na swych szkolnych książkach, mieli być wybrańcami sztuki.

Większa ich część odtwarza tylko poprostu swe wzory, to są tylko kopiści, co pod względem obserwacyi natury, życia i piękna nigdy naprzód się nie posuną.

Takich powierzyć można jakiemukolwiek nauczycielowi, on ich niczego więcej nie nauczy, oprócz pewnej mechanicznej biegłości w rysowaniu.

Tacy zaś, co są talentem obdarzeni, co szczerze miłują naturę, co na nią patrzeć i widzieć jej piękno potrafią, tacy wcześnie i bez niczyjej pomocy robią, jak Janek, widoczne postępy; ich dziecinne utwory szybko się przetwarzają i doskonalą, a nie tracąc nic ze swej pierwotnej prostoty, nabierają wdzięku i widać w nich prawdę.

Dla tych dobry kierunek w naukach jest potrzebny. Więc Janek pójdzie do szkoły.

Teraz wielką troską przejmowała Savarette'a niepewność, jakiego chłopiec znajdzie tam nauczyciela rysunków.

Początki bardzo są ważne, mogą być zbawienne, albo zgubne.

Może się dostanie pod kierunek sztywnego pedanta, może mu każą rysować oczy, nos, uszy według sztychowanych wzorków, może uczyć go będą cieniowania równemi ukośnemi kratkami, z kropką w każdej kratce umieszczoną, albo mu każą głaskać miękkim wiszorkiem twarze starożytnych bohaterów, liczyć kosmyki włosów, tworzących ich faworyty, i rysować oczy z ich głupowatą olimpijską nieruchomością? Może mu stopniowo przechodzić każą od głów małych do dużych, aż dojdzie wreszcie do rysowania całych figur? I jaki cel takiej nauki?... czy żeby ucznia przygotować do rysowania figur gipsowych, a tym sposobem nauczyć go, że arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej pojmować i widzieć powinien tak, jak je pojął i widział nieszczęsny litograf, którego rysunek banalny posłużył za wzór do odlania tych figur z gipsu, strojnych w hełmy i wieńce?...

Takie to odlewy służą za wzory do kształcenia artystycznego młodzieży na prowincyi, kiedy najdrobniejszy szkic Janka większą miał wartość artystyczną, niż każda z tych pięknych figur.

ROZDZIAŁ IV.

Savarette.

Savarette z żalem opuszczał miasteczko H.. i wioskę, i swych nowych przyjaciół.

W chwili odjazdu, przy pożegnaniu, kiedy pocałował Janka, ogarnęło go tkliwe rozrzewnienie, jakiego dotąd nie doznawał nigdy. Bardzo był wzruszony.

Od dwudziestu lat był sam, ale nigdy nie odczuł wyraźniej, jaka próżnia otacza człowieka, nie mającego rodziny, chociażby on najbardziej pracy był oddany. Chętnieby został jeszcze.

Ale jechać było trzeba.

Czuł potrzebę skupienia się w sobie, należało przy oświetleniu pracowni porównać nowe studya z dawnemi i tam je ocenić, a zdawszy sobie sprawę z ich wartości—osądzić, jaką korzyść wyciągnąć z nich będzie można.

Gdy wrócił do swojej wioski, odżyły w pamięci jego dawne wspomnienia, a w nich odnalazł samego

siebie z różnych okresów swojego życia, poczynając od wczesnych lat dzieciństwa, kiedy, w niedostatku będąc, znalazł dobrodzieja, który usunął z jego drogi trudności i przeszkody. Na tych samych gór pochyłościach, bujną trawą pokrytych, widzi w dali zarysowującą się wyraźnie wysoką postać ojca, tego pasterza błędnego, stojącego zawsze pośród stada owiec i psów, które, strzegąc z nim owiec, nieustająco w tę i ową stronę biegaią. Zdaje mu się, że widzi znów zachód słońca, któremu się niegdyś z ojcem razem przypatrywał, ile razy przynosił mu wieczerzę.

Przybywszy do stacyi S.., Savarette wyszedł z wagonu. Zastał swój powóz, czekający na jego przybycie, Franciszek, wierny sługa, po pana przyjechał.

Jechał drogą, wśród żyznych pól idącą; zbiory, widać, były obfite, liczne stogi, przy drodze stojące, o tem świadczyły. Pajęczyna snuła się po polach i ściernie pokrywała delikatną, zaledwie widzialną siatką, na którą padały promienie zachodzącego słońce i odbijały w niej, jak w wodach jeziora, swe złote blaski... Widać już było dzwonnicę, górującą ponad płaszczyzną, niegdyś bagnistą, a dziś porośniętą wierzbami i olchami; na szczycie dzwonnicy połyskuje zdala ośmiokątna, ostro zakończona strzała.

Dalej ujrzał pierwsze domy, stojące wzdłuż obszernego stawu, pełnego sitowia i trzciny, które zachód na różowo zabarwił.

Savarette był bardziej niż kiedykolwiek wzruszony, serce jego wezbrane było uczuciem rzewnem, którego niestety! nie miał z kim podzielić. Ani jednej duszy bratniej!...

Ta wioska była jego gniazdem rodzinnem, świadkiem jego radości i smutków. On tu powracał zawsze w każdej ważniejszej chwili życia. Zbudował sobie tu pałacyk, za duży teraz..; tu mógł pracować w spokoju i ciszy, tu jego sława nie może budzić natrętnej ciekawości. Samotność mu cięży; oddawna nie odczuwał tego tak bardzo.

Już stanął przed swoim domem; służąca Aurelia czekała go przy bramie otwartej.

Malarz przeszedł przez ogród, rzucił okiem na drzewa owocowe, które w tym roku słabo obrodziły, a potem na lipę, która ocienia ławkę pustą...

Potem poszedł do klatki papugi. Ptak skrzeczy z radości, zobaczywszy pana po długiej jego nieobecności, kołysze się na swoim słupku, wydaje krzyki pieszczotliwe i trzepie skrzydłami z radością: jest to przyjaźń trzydziestoletnia!... Savarette wchodzi do pracowni, tyle tu rzeczy znajduje, dobrze mu znanych, a pięknych, ich widok go zachwyca i rozrzewnia.

Dzień był już u schyłku. Nie chce oglądać studyów, które przywiózł. Ostatnie promienie oświeciły harmonium i nad nim wiszący portret kobiety uderzającej piękności; włosy jej gęste, jasne oczy niebieskie z wyrazem niebiańskiego spokoju, usta wydatne i pełne wdzięku. Malarz patrzył długo na portret, potem usiadł przy harmonium. Zaczął od akordów, siedząc nieruchomie z głową, w górę podniesioną, w poważnem zamyśleniu, tylko ręce poruszały się klawiszach.

Piękna była ta jego głowa biała, chociaż miał dopiero lat pięćdziesiąt. Oczy jego, na portret zwrócone, równie jak tony, które w upojeniu dobywał, okazywały głębokie wzruszenie.

Wieczór zapadał.

Nieruchomy w swem rozmarzeniu, puścił wodze palcom, które się długo błąkały w jakiejś nieokreślonej melodyi.

Szary zmrok przysłonił niebo i rzucał dokoła jakieś tajemnicze i niepokojące cienie.

Pierś jego wezbrała uczuciem i drżącemi rękami wyśpiewał pełną boleści, boską melodyę: „Pożegnanie „Mozart'a...“

Portret zniknął w cieniu wieczornym; ostatnie tony tej przecudnej pieśni nie przebrzmiały jeszcze, kiedy nagle drzwi się otworzyły i rozległ się głos Aurelii, oznajmiający, że kolacya podana.

ROZDZIAŁ V.

Savarette podróżuje.

Savarette przyrzekł państwu Gerard, że następnego lata znów do nich przyjedzie i obiecywał sobie, że przyrzeczenie to spełni niezawodnie. Ale w życiu człowieka tak się nieraz wikłają okoliczności, którym ulegać musi nawet ten, kto zdaje się być niezależnym, że wiele pięknych projektów niespełnionych przepada.

Tak się też stało i w tym razie, spadły bowiem na Sawarett'a nieprzewidziane obowiązki, od których

usunąć się nie mógł, rozmaite komitety i jury artystyczne zatrzymały go w Paryżu dłużej, niż się spodziewał. Potem potrzeba świeżych wrażeń popchnęła go gdzieindziej, a wreszcie, mówiąc szczerze, studya, jakie przywiózł z H., na nic mu się nie zdały.

Mogło to być dobre i ładne tam, teraz on chciał czegoś innego. Jemu trzeba było obrazów, przedstawiających mniej szczęścia, mniej spokoju; czuł się znużonym pobytem u siebie na wsi, tu, gdzie dusza jego tylokrotnie doznała wzruszeń, wstrząsających do głębi. Dom wydawał mu się ponurym, ogarniał go tam nie dający się niczem określić niepokój, czuł potrzebę ruchu i wrażeń.

Aurelia zastawała go niekiedy przed portretem nad harmonium zawieszonym, stał wpatrzony w obraz kobiety, jakgdyby na jej odpowiedź czekał.

To było znakiem, że wkrótce coś nowego postanowi. Objawiał często niezwykłą niecierpliwość; Aurelia, przyczyny odgadnąć nie mogąc, była zdziwiona.

Sam przed sobą przyznać się nie chciał, że odkąd w domu państwa Gerard częściej bywać zaczął, samotność coraz przykrzejszą dla niego się stawała. Przyjaciele namówili go, i wyjechał do Bretanii.

Pustka w duszy, jaką odczuwał, i potrzeba świeżych wrażeń zrodziła w nim gwałtowną żądzę dzikiej natury; znalazł ją w Bretanii.

W zachwyt wprawiały go krajobrazy, jakie przedstawia ten kraj, gdzie wznoszą się ponure skały, porośnięte karłowatemi drzewami i których korzenie wysuwają się z rozdartych szczelin w kręconych zwojach, jak olbrzymie włosy Gorgony; gdzie zatoki najeżone są skałami, a ocean pieni się gniewny i rzuca

pianą, która rozproszywszy się, opada na ściany skał nadbrzeżnych i wysepek skalistych.

Obchód nabożeństwa, jakie Bretończycy przy niektórych uroczystościach religijnych odprawiają, sprawił na nim silne wrażenie, wieje z niego fanatyzm średniowieczny i dzikie bohaterstwo powstańców, walczących za sprawę Burbonów. Dreszcze go przejmowały, gdy, siedząc u stóp menhiru, będącego zabytkiem z czasu druidów, albo pod krzyżem przydrożnym, usłyszał odgłos bębnów i ujrzał pośród mnóstwa kobiet, w białych czepcach, ze świecami zapalonemi, ponury orszak mężczyzn wybladłych, z długiemi włosami, którzy w pobożnem uniesieniu szli w nieładzie, chwiejnym krokiem za niosącymi na przedzie krzyż i chorągwie.

Wzruszył go także widok szczupłych, słabych dziewcząt z czerwonemi przepaskami na czole, które pobożnem przejęte uczuciem, na bok przechyliwszy szyje, z pod swych wielkich czepców podniosły ku niebu twarze, opromienione wiarą silną.

Do połowy jesieni przeciągnął swój pobyt w Bretanii, bo smutek, rozlany tam wszędzie, miał dla niego urok pociągający.

I porównywał teraz tę szorstką wiejską prostotę Bretończyków z delikatną i przyjemniejszą nierównie prostotą Gerardów. Co się dzieje z Jankiem? czy on pamięta jeszcze o swoim starym towarzyszu?

Po tych krajobrazach surowych i dzikich upodobał sobie Duaernenez, leżące nad błękitną zatoką, która przypominała mu morze Śródziemne.

W miłych zatopiony wspomnieniach, leżał w półśnie na brzegu morza, słuchał szumu fal i wyraźnego odgłosu spadających z góry kamieni, a oczy jego na

pół otwarte rzucały spojrzenia na mieniące się blaski zatoki. Morze toczyło dyamenty, ametysty, szmaragdy i rzucało swe blaski w dal na szerokie turkusowe i szafirowe przestrzenie. A wśród tych cudów natury bardzo często myślał o Janku, którego polubił szczerze.

Tam, na wsi, chłopiec rośnie. Czy też spodziewa się jeszcze przybycia nauczyciela, który od tak dawna zniknął mu z oczu?

Pod wpływem rozkoszą upajającego słońca południowego, zacierało się pomału to wspomnienie. Savarette tylu doznał wrażeń, szybko po sobie następujących, i tak różnorodnych, że Janek coraz bardziej tracił dla niego dawne swe znaczenie, i nawet zadawał sobie niekiedy pytanie czy ten chłopiec naprawdę ma talent, czy to upodobanie do bazgrania w kajetach, na drzwiach i ścianach nie było zwodnicze, czy w tym kierunku doprowadzi go do czego lepszego, czy chłopiec zrobi kiedykolwiek coś na uwagę zasługującego. A zresztą, czyż on ma do niego jakie prawo? Po co te myśli?...

Wyrzucał sobie nieroztropność, z jaką postąpił, rozbudzając w rodzicach takie nadzieje, może popchnął Janka na drogę, na której nędznie wegetować tylko będzie, jak tylu innych? Czy się nie pomylił w swej wróżbie, on, co tak łatwo uniesieniom porwać się daje, alloż mu się to nie zdarzało i w innych wypadkach?

Człowiek dojrzały, z siwą głową, jak mógł tak nieoględnie postąpić, może przez to zwichnął przyszłość tego chłopca, który mógł być szczęśliwym, mając wszystkie warunki sprzyjające! Jeżeli ma prawdziwe powołanie, uledz mu musi, ono pokonać się nie da;

na co było brać taką odpowiedzialność? albo w jego wieku pobudka była potrzebna?... Wreszcie powiedział sobie: Czekajmy!

Pięć lat upłynęło od czasu pobytu Savarette'a w posesyi Gerardów. Pewnego dnia, przeglądając swój zbiór szkiców, znalazł pomiędzy niemi szkice zdjęte z ich fermy, z nich wypadł kawałek lichego papieru, na którym narysowany był służący z długim nosem, obejmujący w czułym uścisku cielę. Można się było uśmiać do łez, widząc, jak doskonale oddał Janek (bo to był rysunek Janka) tę komiczną miłość głupowatego chłopaka pieszczącego zwierzę, od niego roztropniejsze. Dreszcz rozczulenia przeniknął jego duszę. I w. zystkie wspomnienia z owej epoki zbiegły się tłumnie.

Przedtem już z silnych wrażeń bretońskich ochłonął był trochę, a zaledwie stanął na swojej własnej ziemi, wnet pierzchły wszystkie, jak stado spłoszonych ptaków. Radość go przejęła, gdy ujrzał swoje żyzne niwy, pokryte lucerną i bujnem zbożem, które lekki wietrzyk poruszał i miłą jego woń roznosił.

Jeszcze raz popatrzył na szkice Janka i powziął przekonanie, tym razem niezachwiane, że tylko prawdziwie genialna zdolność oddać mogła w sposób tak prosty, zadziwiający wyraz tej grupy, której komizm wywoływał jakiś czar rzewny. „On nic jeszcze nie umie, powiedział sobie, ale odgaduje to, co jest najlepsze, a odgaduje tyle dla siebie jednego, ile ja razem dla całego siebie".

W prostocie ducha użył artysta tego wyrażenia; samo mu się nasunęło i sam się śmiał z niego. Jednakże nie było ono niedorzecznem: *razem dla całego siebie*

oznaczać miało to, co było u niego darem natury i to co nauką zdobyte.

Takie zdolności ginąć nie powinny dla braku pomocy, a ponieważ przypadek postawił tego chłopca na jego drodze, więc jest to jego obowiązkiem czuwać nad nim i pomagać, ile tylko będzie można. Czyż to zresztą nie było jedynym sposobem spłacenia świętego długu, jaki winien był pamięci swego dobroczyńcy? Powziął zamiar stanowczy i chciał jaknajprędzej zobaczyć malca.

ROZDZIAŁ VI.

Powrót na fermę.

Pilno było artyście wyruszyć w drogę, śpiesznie rzeczy spakował i pojechał najpierwszym pociągiem, idącym w stronę miasteczka H...

Przybywszy do hotelu, zaledwie się po podróży umył, ożywiony miłemi wspomnieniami podążył na fermę. Jakże Janek wyrość musiał!

W miarę, jak zbliżał się do wioski, doznawał po drodze małych rozczarowań. Pięć lat ileż to zmian przynieść może! Już to nie ten sam krajobraz, który niegdyś wesołością uśmiechał się do niego. Wierzby świeżo poobcinane, z gałęzi były ogołocone i wzdłuż drogi stały tylko pnie gołe i niekształtne. Dachy,

świeżo słomą pokryte, odbijają zbyt rażąco przy błękicie nieba nowe deski, przybite na młynie, zanadto wyróżniają się między staremi, przez czas zczerniałemi, i rażą oko swoją białością.

Tylko rzeka zachowała dawny swój wdzięk i świeżość, naprzemian albo cieniem drzew osłonięta, albo blaskiem słońca oświetlona.

Już i podwórze fermy! Nic się tu nie zmieniło.

Savarette przyjęty został przez oboje państwo Gerard z wielką radością.

Savarette szukał Janka oczyma, ale go nie było. Wszedłszy do sali, uderzony został widokiem dwóch rysunków, objętych w ramy mahoniowe. Rysunki, cieniowane starannie ukośnemi kratkami, przedstawiały Mojżesza i Mardocheusza w zawoju z kitą z piór, i były podpisane: pierwszy z nich: Jan Gerard, mając lat 12; a drugi: Jan Gerard, mając lat 13.

„Otóż jest! pomyślał Savarette, byłem tego pewien! Masz tych dostojnych starców, których się tak dla naszego malca obawiałem!“ Rysunki te były przedmiotem podziwu w okolicy. Rodzice patrzyli ciekawie na artystę, jakgdyby zapytać chcieli: „Cóż pan na to powie..“ a z oczu ich radość jaśniała. W tej chwili weszła babka, zbliżyła się do towarzystwa i, nie mogąc się powstrzymać, jednym ciągiem mówiła: „Tak, panie, to Janka robota! Tak, to on robił... ręczna robota, a wygląda jak sztych. Patrz pan: ten zawój Mardocheusza biały, jak śnieg... Jakie to piękne! Ale, pan nie wie, jak nam go brakuje, nasz dom, bez niego teraz bardzo cichy“. I łzę, co się z oka wymknęła, otarła nieznacznie fartuchem.

Savarette przyznawał, że rysunki bardzo ładne, uspakajał, że Janek powróci. Udawał wesołość, żeby

pokryć niecierpliwość, z jaką Janka zobaczyć pragnął.

Janek umieszczony był w pensyonacie od lat czterech; w domu było pusto, ale wakacye się zbliżały.

Pani Gerard dodała: „Ach! jakże nasz Janek się ucieszy, gdy dowie się o przybyciu pana! Zostać malarzem, to jego najgorętsze życzenie!“

„Dostał pierwszą nagrodę za rysunki, a jego Mardocheusz jest niezaprzeczonym dowodem zasługi; srebrną oprawkę do ołówka dostał jako nagrodę, wręczono mu ją w czerwonym safianowym futerale.“

Teraz Savarette przeglądał nowe szkice Janka, były tam tak jak niegdyś kury i cielęta, ale byli także profesorowie w sukniach długich i obcisłych, byli wojskowi, nareszcie cały dwór księcia Flandryi przyjmowany przez municypalność miasta i zbrojnych rycerzy, obok których umieszczony był kat z mieczem sprawiedliwości. Scena zaczerpnięta została z jakiejś historycznej uroczystości, podczas której ten orszak Janka w zachwyt wprawił.

Postępy naprawdę były znaczne: nie widać tam już nóg, jak dawniej, w kształcie motyki, ani rąk do kleszczy podobnych; nie jest to jeszcze doskonałe, ale dobre i obiecujące wiele.

Zapominam o portretach ojca i matki, w których podobieństwo zadziwiająco było uchwycone; rodzice utrzymywali, że Janek, starając się o oddanie podobieństwa, w cieniowaniu mniej dbał o doskonałość tych ukośnych kwadracików, które są takie ładne w ilustracyi Starego Testamentu.

— To jest dobre, powiedział Savarette, będzie z niego malarz, tylko nie rozdmuchujcie w nim tej

myśli, trzeba żeby dobrze odbył nauki, to jest konieczne.

Zażądał, by mu jego dziennik pokazano; dobre stopnie były tylko z rysunków i z francuskiego, a w uwagach ogólnych: „zdolny, trochę leniwy, bardzo nieuważny".

— Jak tylko będzie Janek w domu, rozpocznę z nim lekcye, choćby tylko dlatego, żeby nie rysował bohaterów i patryarchów w zawojach z kitami.

Ci poczciwi ludzie słów znaleźć nie mogli na podziękowanie. Nalegali, żeby Savarette u nich zamieszkał, przeznaczając dla niego największy pokój z firankami, jak śnieg, białemi, gdzie było dosyć słońca, suchy, bez najmniejszej wilgoci. Savarette podziękował im za gościnność, zapewniając o swym dla nich szacunku i wdzięczności, ale on potrzebował do pracy zupełnej swobody, jakiej miećby u nich nie mógł.

W kilka dni potem, pan Gerard przybył z synem do hotelu, Savarette przyjął ich serdecznie. Janek nie wiedział, jak ma swoją radość okazać, wzruszenie mówić mu nie dozwalało.

Zaczął już czternasty rok życia, jest to wiek niewdzięczny, wychodzi się już z dzieciństwa, nie będąc jeszcze młodzieńcem. W postawie jego było jakby jakieś zakłopotanie, nie wiedział co z sobą robić, z nogi na nogę przestępował. Cerę miał zdrową, włosy gęste, oczy rozumne, nos Burbonowski, usta ładne, w których piękne ukazywały się zęby, nogi i ręce w ciągłym były ruchu, jakgdyby ze spodni i rękawów uwolnić się chciały. Savarette wszystko w nim widział dobre i ładne, wszystko mu się w nim podobało, nawet głos, którego brzmienie było czyste i dźwięczne.

„Jak skończą się nauki szkolne, jeżeli zechcesz mi towarzyszyć w moich wycieczkach—mówił do niego stary malarz— to będziesz przy mnie rysował, tylko nie tak, jak w twojej szkole rysują“.

Za całą odpowiedź twarz Janka żywym okryła się rumieńcem, a w oczach błyszczała wdzięczność niewymowna.

Nazajutrz, przed godziną oznaczoną Janek był już przed hotelem, siedział pod dużą akacyą, między dwoma powozami: jeden z nich ociekał wodą, spływającą z pod olbrzymiej gąbki chłopca stajennego, z którym zawiązał rozmowę. Savarette dojrzał go ze swego pokoju, chłopiec rzucał częste spojrzenia ku oknu malarza, a gdy go zobaczył zbliżającego się, z radością poskoczył ku niemu. Poszli razem na fermę, Savarette chciał zrobić studyum z ogrodu.

Poranek był piękny, choć posępny, lekka mgła opadała na trawę i srebrzystą pokrywała ją osłoną, a nieco wyżej, na drzewach w słońcu złotym blaskiem płonęła.

Młyn spoczywał, woda z rezerwuaru sączyła się cienkim kryształowym sznurkiem i kropla po kropli z pluskiem miarowym spadała do rzeki, która cicho choć bystro płynęła, wtenczas tylko głośniejszym odzywając się szumem, gdy na raptownym zakręcie zawadę nagle spotkała.

Sad się zielenił, młode jabłonie uginały się pod ciężarem rumianych renet, które między liśćmi żółciły się, jak pomarańcze.

ROZDZIAŁ VII.

W szkole.

„Zdolny, trochę leniwy, bardzo nieuważny“. Uwagi takie powtarzały się często w dzienniczku Janka, szczególnie z początku; później zrozumiał zapewne potrzebę nauki i więcej się nią zajmował.

Z początku jakieś małe przewinienie, dziecinne wybryki były rzeczą nieuniknioną, niełatwo było zastosować się do szkolnych wymagań chłopcu, który wprost z domowego otoczenia i zupełnej swobody został wyrwany i znalazł się wśród chłopców, w mieście wychowanych, pospolicie swawolnych i niesfornych. Cztery lata upłynęło, odkąd wszedł między nich po raz pierwszy; przybył tu z oczyma jeszcze wilgotnemi od łez pożegnania, z głową pełną rad i uwag, których mu ojciec przez całą drogę nie szczędził.

Stojąc, Janek patrzył, jak we śnie, na wszystko, co się koło niego działo. Tak jest, on wydawał się istotnie, jakby na pół uśpiony, chociaż, co chwila, wśród ruchu bardzo ożywionej zabawy, był potrząsany i popychany.

Chłopcy zabawiali się frygą, Janek nie znał tego rodzaju zabawy, polegającej na puszczaniu frygi w ruch nieustający, który się podtrzymuje przez ciągłe popędzanie jej rzemiennemi batami. Zabawa wydała mu się głupią, taką wydać się musiała każdemu

myślącemu chłopcu. Stał odurzony, obojętny na wszystko, co koło siebie widział i machinalnie ocierał ręką łzy bolesnego rozstania.

Kilku uczniów nie należało do tej hałaśliwej gry; tak jak on, wieśniacy, poznać ich było łatwo, wyróżniali się swojem zachowaniem, — oraz zewnętrzną postacią... i gdyby nie jego smutek, byłby się do nich zbliżył... Niektórzy znów byli mizerni, wątli: ci śmiali się z niego z wyrazem tak dzikiej złośliwości, że czuł się wobec nich onieśmielonym. Ale cierpliwości! O! oni szanować go będą, niechno tylko doświadczą silnej jego pięści; jak mu ich szyderstwa zanadto dokuczą, da on im dobrą naukę.

Długo jeszcze Janek oswoić się nie mógł, w marzeniach widział swą wioskę i wszystkich ukochanych i myślą wybiegał często ku nim, a nieraz, gdy spać się położył, tęsknotą przepełnione serce rzewnemi łzami boleść swą wypłakało.

Z natury smutny nie jest, niekiedy nawet unieść się daje wielkiej wesołości. Dla towarzyszów będzie dobry, ale będzie od nich zawsze zdaleka; nie zbliży się z nimi nie dlatego, żeby miał być dumny, o nie! ale, że ma wstręt do ich rozmów złośliwych i pustych.

Nawet pomiędzy chłopcami wiejskimi, do których czuł z początku pociąg szczególniejszy, jakże niewielu jest takich, z którymiby mógł porozmawiać o tem, co lubi i co mu jest drogie. Wielu z nich dąży do tego jedynie, żeby w przyszłości zostać księdzem lub notaryuszem, nabrać powierzchownej ogłady i wymawiać głoskę *r* tak, jak tego piękna wymowa wymaga.

Janek nie był także bez wad. Jego wieśniacza prostota była przyczyną, że nieraz z niego sobie żartowano.

Zaraz po przybyciu jego do szkoły, zauważono, że naukowych wiadomości nie posiadał żadnych, jego braki pod tym względem wszelkie przechodziły granice. Czytać lubił niezmiernie. W pensyonacie była biblioteka, z której w każdą sobotę uczniowie brali do czytania książki. Oddając po przeczytaniu jedną, dla otrzymania na tydzień następny drugiej, zostawiali karteczki, nazwiskiem swojem podpisane, na których tytuł żądanej książki był oznaczony.

Janek słyszał wymawiane z uniesieniem nazwisko Chateaubriand, a wziąwszy nazwę znakomitego autora za tytuł książki, napisał na swojej kartce: „Jan Gerard prosi o Chateau brillant.“

Następnej soboty przyszedł do biblioteki; na nieszczęście było z nim razem kilku najzłośliwszych chłopców. Nauczyciel, rozdający książki, podał Jankowi powiastkę pod tytułem: „Chata indyjska“ (Chaumière indienne), mówiąc: „Oto najświetniejszy pałac, jaki dla twojego nieuctwa za odpowiedni uważam.“

Złośliwe, płaskie koncepta towarzyszów długo prześladowały Janka po tem jego nieszczęsnem „qui pro quo.“

Do wszystkiego przyzwyczaić się można! Janek nie czuł się już później nieszczęśliwy. Otaczał go nawet powien urok, jako dobrego rysownika. Portrety uczniów, a nawet nauczycieli, zwróciły na niego uwagę. Greka i łacina nie stawiały go wysoko, ale za to pierwszym był w opowiadaniu francuskiem. Z czasem koledzy powierzyli mu rolę bardzo ważną; jego to było udziałem w dni imienin profeso-

rów opiewać ich surowe cnoty i zasługi stylem kwiecistym. Proszono go nawet o rysunki, które w chwilach wolnych wykonywał; on sam nie przypisywał im najmniejszej wartości i nauczyciel rysunków pewnieby ich nie pochwalił.

Pokój, na salę rysunkową przeznaczony, był ponury, w głębi podwórza położony, ale dla Janka był on rodzajem sanctuarium. Wiemy już, jak tam nauka była prowadzona, wiemy, że przyjęty tam system musiał tamować wszelki postęp, ale Janek tych niewłaściwości jeszcze nie pojmował i przy swej pracy doznawał niekiedy wzruszeń głębokich, traktując poważnie te sztychy bez wyrazu i bez wartości artystycznej.

Teraz już Janek oddaje się chętnie tym naukom, które mu szły trudno i których z początku nie lubił, zdarza się nawet, że dostaje dobre stopnie za wypracowania. Ale roztargnienie jego jeszcze się powtarza i to, co było u niego tylko zamyśleniem, nazywano lenistwem.

Kiedy pod wpływem wspomnień, sercu drogich, siedział nieruchomy, w lampę wpatrzony, a nauczyciel zawołał: „Janek znowu patrzy na lampę“, on jej nie widział, oczy jego, machinalnie ku światłu zwrócone, widziały co innego: on widział wtenczas ojca, matkę, wszystkie twarze tych, których kochał, wszystkie uśmiechały się do niego, wygnańca! Widział rozległe pola, i fale żółtych zbóż, i zielone łąki, zkąd w powietrze rozchodziły się odgłosy znane i powtarzały się echem w szerokiej przestrzeni bez końca. Jakże mu ciasno było między żółtemi murami! zdawało się, że one coraz bardziej do siebie się zbliżają i staną się w końcu więzieniem strasznem.

Ileż to razy przypominał sobie starego malarza, spoczywającego pod wierzbami! Od czasu ostat ich wakacyi myślał o nim codziennie, przypominał sobie każde jego słowo; zdawało mu się, że widzi jego studya, tak pełne życia i w tak świetnych malowane barwach. I marzył o tych chwilach, kiedy i on sam będzie mógł zupełnie poświęcić się sztuce, którą umiłował.

Dziękował Bogu, że mu pozwolił poznać tak dobrego nauczyciela, tak życzliwego przewodnika. Janek nie był zbyt nabożnym, doznawał jednak niekiedy, modląc się w kaplicy, rozkosznych porywów duszy, które go unosiły w sfery nadziemskie. Śpiewy, organy, świetne ceremonie religijne w upojenie go wprawiały i pogrążały w marzenia bez końca; a niekiedy zdarzało się także, że zasypiał pobożnie, jak to niegdyś bywało w jego wiejskim kościołku.

Nie zapomni nigdy w życiu tych pięknych uroczystych świąt, szczególnie Bożego Narodzenia. O północy zbudzono chłopców, na „Pasterkę"; w kościele chór jaśniał tysiącem jarzących świateł; Janek, blaskiem ich olśniony, przecierał zaspane jeszcze oczy, zdawało mu się że go rajska jasność otacza. Organy, skrzypce i flety zabrzmiały uroczystem „Hosanna." Janek, dziecię wsi, najbardziej czuł się wzruszony widokiem skromnego żłobka i wiejskiej stajenki w Betleem.

ROZDZIAŁ VIII.

Chłopiec rośnie.

Savarette przywiązuje się coraz bardziej do swego towarzysza.

Janek, teraz już śmielszy, odważa się objawiać swoje osobiste wrażenia. Ich świeżość i prostota zadziwiają starego artystę i nieraz zadaje sobie pytanie, który z nich dwóch więcej odnosi korzyści z tego poufnego stosunku. Spostrzeżenia i uwagi Janka budzą w nim tysiączne wspomnienia, ukazują mu świeże źródła, pod ich wpływem czuje żywiej i widzi jaśniej. Czerpie z nich świeże siły do walki z fałszywemi przesądami.

Z zadziwiającą na swój wiek bystrością Janek wszystko pojmuje. Bierze udział we wszystkich wycieczkach; zna okolicę, wie dokąd każda droga i ścieżka prowadzi i pomaga swemu mistrzowi w wynajdywaniu miejsc pięknych. Tu równina dokoła pagórkami zamknięta; na nich, rozrzucone tu i owdzie, chaty drzemią pod osłoną cienistych wiązów, tylko czerwone ich dachy błyszczą w słońcu.

Tam powabne doliny i zielone łąki, i domki wśród kwiatów. Janek wejdzie wszędzie, do każdej fermy, nie boi się ani psów, ani ludzi, znają go wszyscy i kochają, bo i ojciec jego przez wszystkich tu jest kochany.

Mnóstwo zadaje pytań, ciekawość jego często do zaspokojenia trudna i Sawarette'a wprawia w pewne zakłopotanie. Wkrótce rozstać się będą musieli, każdy w swoją pójdzie stronę, jeden do swojej pracy, a drugi do nauk szkolnych.

ROZDZIAŁ IX.

Wiek dojrzałości.

Corocznie Savarette wakacye przepędzał z Jankiem. Cztery lata znów upłynęły i tym razem Savarette wita młodego człowieka pięknej postawy, którego oblicze ma wdzięk prawdziwy, znamionujący siłę i dobroć. Widać w nim skłonność do marzeń i duszę wrażliwą na wszystko, co piękne.

Wychodzi z wieku młodzieńczego, a wchodzi w okres męskiej dojrzałości.

Jego organizm fizyczny i moralny odbywa tę tajemniczą pracę wewnętrzną, która bywa niekiedy straszną dla młodych ludzi i o ich przyszłości stanowi.

Jest to przekształcenie się istoty, będącej u progu nowej epoki życia swojego. Dziecko rozwija się bezwiednie, wrażenia, jakie zapomocą zmysłów odbiera, na umyśle jego ryją się głoskami nigdy nieza-

tartemi, z których później wiek dojrzały, rzuciwszy okiem w przeszłość, wyczyta prawdę; ale młodzieniec, w epoce przejścia do dojrzałości męskiej, inaczej je wytłomaczy; on odgadywać z nich tylko będzie tę tajemniczą siłę natury, która jest sprężyną, do życia popychającą. Boć to przecie chwila, w której zjawiska obserwowane budzą myśl. Myśl prowadzićby powinna do światła prawdy. Tak, ale na nieszczęście jest ona tak zręczna i giętka, że łatwo nagiąć się daje, gdy idzie o zadowolenie i usprawiedliwienie pożądań, rodzących się namiętności, i potrafi łatwo oszukać i zaślepić rozum.

Bo dojrzewanie młodzieńca—to ferment zmącony. Wtenczas myśl usiłuje wprowadzić w błąd sumienie, które powinnoby być sędzią namiętności; niekiedy przybiera ona rolę usłużnego adwokata, broniącego sprawy osobistej i samolubnej, i zaciemnia sprawę, którąby rozjaśnić i w właściwem świetle przedstawić powinna.

Wiadomo, że pobłażliwość dla samego siebie obfituje zawsze w sofizmaty, które dla każdego wieku mogą być niebezpieczne, ale najniebezpieczniejszemi są dla męskiej dojrzałości. Młodzieniec, kierując się niemi, wchodzi często na fałszywą drogą i przebywa ciężki kryzys.

Janek, natura wrażliwa i czuła, podlegał bardziej, niż inni, działaniu popędów naturalnych, ale jego prawość, a może i obawa odpowiedzialności, chroniła go od pokus i strzegła od upadku, któremu tylu młodych ludzi podlega, a który często staje się przyczyną ich zguby.

Oddawał się niezmordowanie przez pewien czas polowaniu. Ale wkrótce uczuł niesmak i wstręt do

tego rodzaju przyjemności. Wzdrygał się na widok własnych rąk skrwawionych, któremi, trzeba było dobić zranioną kuropatwę, szamocącą się konwulsyjnie w przedśmiertnych ruchach. Niech się, kto chce, śmieje i niedorzeczną nazwie to czułością, ale Janek nie mógł obojętnie słuchać krzyku zająca, który mu się do krzyku dziecięcia tak podobnym wydawał, ani patrzeć na konanie tych biednych stworzeń, dla naszej dzikiej uciechy ginących. Gdyby przynajmniej bronić się mogły!.. Ostatni jego wystrzał ugodził wilgę, która nieznośnie w ogrodzie świstała. W nocy widział ją we śnie i przysiągł, że więcej strzelać nie będzie; odtąd strzelba jego spoczywa zawieszona nad kominkiem.

Janek z łatwością przechodził z jednej ostateczności w drugą, odrazu zaniechał swych dalekich wycieczek. Miewał chwile zniechęcenia. Wtenczas szukał miejsc odludnych, szedł wolnym krokiem w myślach zatopiony, albo leżał długie godziny nad brzegiem rzeki, goniąc okiem drobne żyjątka, które się w niej roiły zmieszane bezładnie, tak, jak się roją w duszy jego budzące się zaledwie żądze. Tę wodę tak czystą mącił najmniejszy ruch na dnie, podobnie czystą jego duszę najlżejsza chmurka cieniem smutku przysłaniała. Wszystko wydawało mu się czarne, ogarniała go jakaś bezsilność nieprzezwyciężona; leżał nieruchomy z oczyma na pół przymkniętemi i marzył.

Kiedyindziej budził się zrana wesół, rzeźwy, z gwałtowną chęcią do pracy; biegł w pola i malował.

Studyując naturę, coraz ją lepiej pojmował i coraz bardziej miłował.

Modelki wybierał sobie z pomiędzy dziewcząt, które w niedzielę po nieszporach przechadzały się zwolna koło fermy, i na najmniejszy znak, przez Janka dany, przybiegały z głośnym śmiechem, wdzięcząc się zalotnie; albo w dni robocze brał je z pośród żniwiarek, lub też szukał ich na fermach w wioskach sąsiednich; obraz tej świeżej wiejskiej piękności młodych, tęgich, dobrze zbudowanych kobiet, przesuwał się często w jego pamięci, sprowadzał te marzenia i myśli niepokojące, które go tam nad brzegiem rzeki opanowały i sprawiały jakieś nieokreślone, a przykre uczucie. Rysunki jego i studya miały cechę odrębną, była w nich świeżość, pewna oryginalność, dla Savarette'a bardzo ciekawa i zajmująca.

Savarette sprowadził dla ucznia swego w zmniejszeniu posągi: Wenery z Milo, Tezeusza i Minerwy, żeby mu dać poznać prawdziwe piękno, takie, jak je Grecy pojmowali, gdyż dotąd Janek znał zaledwie kilka odlewów bez wartości, z czasu chylenia się sztuki greckiej do upadku.

Uczeń z pojęciem jasnem i z dobrem przygotowaniem zrozumiał odrazu, jak wielka jest różnica między temi dwoma stylami.

Pewnego dnia oznajmił ojcu stanowczo, że żadnej innej nie poświęci się pracy, tylko malarstwu. Pan Gerard, chociaż na pół już przekonany, jeszcze próbował oprzeć się temu ale Savarette uspokoił go, mówiąc, że jeżeliby się Jankowi na tem polu nie powiodło, z łatwością będzie się mógł do innego przerzucić zajęcia, teraz, kiedy ukończył nauki i posiada uniwersytecki stopień bakałarza.

Młodzian, pełen zapału, wolny od ciasnych przesądów i uzbrojony przeciw pokusom, na jakie może

być wystawiony, od upadku jest zabezpieczony; chwila zatem stosowna; niech jedzie do Paryża!

ROZDZIAŁ X.

W Paryżu.

Janek gorąco pragnął być w Paryżu: tak pilno mu było ujrzeć go jaknajprędzej, że w drodze, nie zatrzymując się nigdzie, zaledwie z niechcenia rzucał okiem na przesuwające się krajobrazy. W podnieconej wyobraźni przedstawiał sobie Paryż; znał go doskonale z licznych reprodukcyi, jakie widział, mimo to jednak spodziewał się nowych, nieznanych wrażeń.

Jeden z takich reprodukowanych obrazków stawał mu często przed oczyma; była to, na kalendarzu odbita fioletowym kolorem, fasada Szkoły Sztuk Pięknych! Ileż to razy przypatrywał jej się, mówiąc: Ach! żebym ja się tam kiedykolwiek mógł dostać!

Minęli Saint-Denis, już ukazuje się Montmartre... obejmuje go jakieś uroczyste wzruszenie... Już Paryż!...

Ten tłum śpieszący, ten ciągły ruch pojazdów, hałas, nawoływanie, ogromny dworzec z olbrzymiemi żelaznymi słupami, te liczne wyjścia, ku którym dążą gromady całe—wszystko to go odurzyło. Wydostał się nareszcie z tego labiryntu.

Wysiadł przed pierwszym lepszym hotelem i tam się zatrzymał, dopóki gdzieś nie zamieszka stale.

Jakie były jego wrażenia, gdy pierwszy raz na ulicę wyszedł i wśród tej ciżby uczuł się samotnym? On ich sam nie rozumiał; zachwyt, smutek i tęsknota razem się zmieszały. Chwilami radość serce jego napełniała, zdawało mu się, że wszystko z łatwością zdobyć potrafi; po chwili znowu ogarniał go strach, przerażała go ta ludzka nawałnica, wśród której on sam, bez doświadczenia, jak źdźbło słomy wśród burzy, popychany i miotany będzie.

Widok ogrodów orzeźwił go i uspokoił. Podobał mu się szczególniej ogród Luksemburski, ale podziwiając go, uczuł się znów samotny. Niema nikogo, z kimby wrażenia doznane mógł podzielić...

I myśl uniosła go do swoich... tam, gdzie ziemia taka dobra... wioska taka cicha... Zaledwie stanął w Paryżu, a już żałuje tego wszystkiego, co tam zostawił za sobą daleko.

Nie może jasno zdać sobie sprawy, zkąd to pochodzi. Czy może wyobraźnia zbyt żywa więcej mu obiecywała, niż rzeczywistość dała? Czy ztąd, że on nie jest jeszcze zdolny do należytego ocenienia tych pięknych rzeczy, które się tu przed jego oczyma przesuwają? Może później oceni je lepiej i zachwyci się niemi; dziś doznaje pewnego rodzaju rozczarowania dlatego może, że zaledwie zlekka ich tylko dotknął.

Więc w tej duszy marzycielskiej nic zatrzeć nie zdoła obrazów wspaniałej natury, któremi dotąd się karmił? Może w Luwrze znajdzie rozkosz spodziewaną?

Następnego poranka zaraz tam biegnie, lecz nie-

stety! drzwi zastaje nielitościwie zamknięte. Czekać musi do dnia następnego.

Z bijącem sercem wszedł do wielkiego przedsionka, idzie na monumentalne schody, staje przed słynnym „Victoire de Samothrace“, patrzy zdumiony na to najpiękniejsze dzieło sztuki, ten najświetniejszy objaw geniuszu ludzkiego, jaki Paryż posiada [1]). Nic równie pięknego! Janek przebiega szybko galeryę Apollina, olśniony blaskiem jej bogactw. Wchodzi do Salonu Kwadratowego, siada na pierwszej ławce. Wzrokiem obejmuje całość, oczy jego błąkają się tu i tam, nie zatrzymując się wcale, wszystkie płótna, razem widziane, jak cudne marzenie senne, sprawiają na nim silne wrażenie. Przebiega galerye i sale, pochłania oczyma arcydzieła, które na każdym kroku spotyka.

Drugiego dnia i trzeciego i jeszcze następnego znów idzie do Luwru; tam nasyca się widokiem piękna, aż do znużenia, a gdy znużenie było zbyt wielkie, przypatrywał się przechodzącym. Spoczywał na ławce i, siedząc, zasnął; wtedy stróż delikatnym ruchem przebudził go, mówiąc: „W Luwrze spać niewolno.“

Pewnego razu, kiedy tak siedział, zatopiony w rozkosznem marzeniu i patrzył w próżnię, aby zmęczonym oczom dać chwilę wypoczynku, nagle poczuł na sobie wzrok jasny... pociągający... czarowny... wzrok kobiety.

Była blada, pełna wyrazu, promienna...

Dlaczego te oczy tak uparcie skierowane na nie

---

[1]) Przepiękna statua grecka, znaleziona w Samotracyi w r. 1863. Podług niej został namalowany słynny fresk.

go?... To go mieszało. Dreszcz przeszedł po całem jego ciele, nigdy jeszcze nic podobnego mu się nie przytrafiło, podobnego uczucia nie doświadczył nigdy. Było to coś niepokojącego, jakaś niemoc... Wstał i wyszedł z muzeum.

To nieznane upojenie i zapał dla sztuki, połączone razem, spowodowały jakiś zamęt w umyśle jego. Niewyraźne blaski przesuwały się w głowie i jasne rzucały światło na drogę jego życia, i ogarniała go radość wielka.

Wyprostował się i szedł z wiarą w siebie.

Idąc, rzucił spojrzenie na nadbrzeżne ulice, na Łuk Tryumfalny, ukazujący się z po za pałacu Elizejskiego, przyszłej jego areny... Piękny jest Paryż! on to dopiero teraz widzi. Ta dusza bogata i szlachetna upajała się jego pięknością, ale niestety! już zaczynała pić z niego i truciznę!

W nocy sen miał niespokojny, prześladowały go dziwne marzenia, a na ich tle, na pierwszym planie, jaśniały ciągle dwie rzeczy: Zwycięstwo Samotracyi i czarujące spojrzenie. Dopiero nad ranem zasnął snem twardym.

Zrana naprzód napisał list do Savarette'a, a potem udał się do Denewers'a, członka Instytutu, któremu przez Savaretta został polecony. Denewers przyjął go łaskawie, jego rysunek „Wenus z Milo“ uznał za dobry i zaliczył go do grona swoich uczniów.

W parę dni później Janek odebrał od Savarette'a odpowiedź następującą:

„List twój poruszył mnie mocno, mój drogi Janku, świeżością uczuć i myśli, przypomniałeś mi moją młodość, która, niestety! już tak dawno minęła. Czytając, zdawało mi się, że cię widzę, zrozumiałem cię

doskonale i odczułem to, co ty czujesz. Moje niegdyś wrażenia były takie same, jakich ty dziś doznałeś, z tą tylką różnicą, że czasy były inne.

„Starcom trudno jest dobrze ocenić młodzież, która ich otacza. Gdybym, oceniając epokę twoją, z ciebie tylko brał miarę, musiałbym jej same oddać pochwały. Duszę masz gorącą i szczerą, przymioty te zawdzięczasz pochodzeniu swemu, zdrowy to ten stary pień, z którego wyrosłeś. Daj Boże, żebyś się nie czuł zbyt obcym wśród pokolenia, do którego należysz.

„Nie chciałbym być pesymistą w stosunku do tej młodej generacyi i ciebie źle do niej uprzedzać. Ma ona swoje ideały i porywy bujne. Najlepsze siły i wytrwałą pracę dla nauki poświęca, ale sztuka jest dla niej rzeczą obojętną.

„My mieliśmy więcej ciepła i utrzymuje wielu, że dziś my, starcy, więcej mamy szlachetnego zapału niż synowie nasi. Wtenczas wierzono jeszcze innym, dziś w siebie tylko wierzą. Rozprawia się więcej o kollektywizmie, a powszechnie panuje indywidualizm, dążenie w wysokim stopniu egoistyczne.

„Wielu artystów za dużo liczy na talent, a za mało na pracę. Robota ich, to pośpieszna fabrykacya. Jest łatwość rozpowszechnienia wszystkiego, więc wszystko się rozszerza, ale się nie podnosi.

„Nie jestem ja nieprzyjacielem postępu, ja, co w sztuce najdrobniejszą rzecz, cechę nowości mającą, wyżej cenię nad to wszystko, co oklepane i pospolite.

„Wiem, że dziś dla odbycia drogi naokoło świata nie więcej potrzeba czasu, niż dawniej potrzeba było na przejazd do Marsylii. Ale za moich czasów podróżowano, a dziś tylko pędzą.

„Dziś wszyscy pędzą, wszyscy śpieszą, a ten pośpiech, ten szalony ruch bez celu przypomina mi wiewiórkę w klatce. Cyklista pędzi na wyścigi, inny pędzi za groszem, inny za sławą; pędzi bez względu, czy na swej drodze obali bliźniego, czy sam wywróci koziołka.

„Wkrótce przy powozach nie będzie wcale koni. Szlachetne zwierzę zastąpi rura dymiąca.

„O Partenonie! jakże daleko będziesz od synów naszych!“

Savarette.“

ROZDZIAŁ XI.

Pracownia Denewers'a.

Janek zamieszkał przy ulicy „Maine“. Miejsce dość spokojne podobało się Jankowi, bo tam ma drzewa zielone, ma wiązy takie same, jak te, co dom rodzicielski otaczają. Ogród Luksemburski ztąd niedaleko, a on go tak lubi; przechodzić tędy często będzie.

Janek, uprzedzony przez Savarett'a, przyjęciem, jakie go u Denewers'a spotkało, nie był zdziwiony, zniósł mężnie najprzód grad żarcików i płaskich konceptów, i potem poduszek i taboretów, które na niego ze wszystkich stron padały. Oparłszy się o słup, schylił głowę i czekał spokojnie, aż burza przejdzie,

myśląc sobie, że go przecież nie zabiją [1]). Później kazano mu śpiewać, był to zwyczaj Denewersa, który od czasów Savarette'a trwał dotąd niezmiennie. Janek zaśpiewał jakąś kolendę, której się w szkole nauczył. Na to powstał krzyk i hałas ogłuszający. „Za kogo ty nas masz? wołano—czy nic lepszego nie umiesz?"

Widząc, że zrobił zły wybór, chciał się poprawić, zaśpiewał piosnkę żołnierską, którą śpiewał niegdyś ich służący, ten z długim nosem. Teraz było jeszcze gorzej, krzyki się powtórzyły: „Skończyszże ty to zaraz? A ty gdzie jesteś? i poduszki z taboretów i uderzenia po głowie znowu się posypały.

Nakoniec uspokoiło się wszystko.

Model stał z boku, uśmiechając się i na wezwanie czekał; był to mężczyzna okazały.

Janek wziął się do pracy, zapał go ogarnął: Nie wiedział, że go pilnie obserwowano. Zdziwienie wywołał wielkie.

Po kilku pociągnięciach węglem, kształty, proporcya, siła tego pięknego ciała zostały doskonale narysowane, potem podziwiać trzeba było dokładność, z jaką wszystkie części tego pierwszego zarysu poodznaczał, jak wszystko wyraźnie zaakcentował i z jaką łatwością rysunek wykonywał.

---

[1]) W paryskich pracowniach szkolnych panują zwyczaje tradycyjne, z któremi cudzoziemcowi trudno jest się pogodzić. Prócz opisanego tutaj, spotyka się przy wstępowaniu nowicyusza (*un nouveau*) do szkoły wiele innych obyczajów, będących w sprzeczności z przyjętem powszechnie pojęciem o wysokiej kulturze estetycznej we Francyi.

(Przyp. tłómacza).

W pracowni powtarzało się nieustanne: „Do dyabła! ten „nowy“ jest mocny.“

My, co widzieliśmy, jak się rozwijał talent tego młodzieńca, i z jaką troskliwością Savarette nim kierował, dziwić się temu nie będziemy.

On go nauczył patrzeć na naturę dobrze, on mu pokazał, że w naturze wszystko wiąże się z sobą, że tam żaden szczegół oderwany nie jest, lecz wszystkie w całość się zlewają i każdy zależny jest od innych. On sięgnął jeszcze dalej, sięgnął do źródeł. Wykazał uczniowi odwieczne prawo harmonii, które łączy ze sobą wszystkie królestwa natury, ich wzajemny do siebie stosunek, dobroczynne działanie jednych na drugich, co on *miłosierdziem rzeczy* nazwał; światło lituje się nad ciemnością i posyła jej swoje blaski; miłosierdzie niebios sprawia, że nad ziemią rozpościera się błękitu przestrzeń niezmierzona. Janek wie to wszystko, drobiazgi pomija, widzi swój cel, który szeroko obejmuje, i patrzy, dążąc do niego z przejęciem niemal religijnem.

Gromadzą się koło niego, winszują mu. Denewers, który miał robić poprawki, powstrzymać się nie mógł od wyrażenia swego zadowolenia i z radością wykrzyknął: „Brawo, młodzieńcze, brawo!“

Janek nie spodziewał się takiego powodzenia, był niem upojony. Tysiąc projektów przesunęło się w jego myśli; marzył już o arcydziełach, a na pochwały, jakie mu oddawano, odpowiadał: „Nie, to jeszcze nie to, co być powinno. Lepiej być musi, zobaczycie!“

Teraz poznał, jakiemi zdolnościami obdarzyła go natura, dotąd nie był ich świadomy. Zaczął liczyć na nie wiele, chciał stworzyć odrazu coś nadzwyczajnego, gonił za nowością, i w tej pogoni bezowocnej

zboczył z drogi właściwej. Miewał wprawdzie jeszcze chwile dobre, chwile prawdziwego natchnienia, koledzy zachowali jeszcze długo dawne o nim pojęcie i cenić go wysoko nie przestali. Ale jego śmiałe marzenia, i ambitne dążenia sprowadziły rozterkę ciągłą w duszy.

Jeden z kolegów pomału wpływ swój na Janka wywierać zaczął. Może dlatego, że wśród ogólnego uznania. jakie dla talentu Janka wszyscy koledzy objawili, on tylko jeden zachował się obojętnie, na rysunki jego uwagi nie zwracał, i tylko z uśmiechem ironii na nie spoglądał. Janek wziął za objaw wyższości to, co poprostu było u niego dumą, niczem nieusprawiedliwioną.

Nazywał się Garniton. Wysoki, szczupły, blady, oczy miał jasne, nos prosty, usta małe i ciemnym wąsikiem ocienione, z pod niskiego kapelusza z prostem rondem spadały długie pukle włosów. Spodnie nosił szerokie u góry, obcisłe przy kostce. Lekceważący wszystko, zimny lecz w rozmowie przyjemny. Jest to jeden z lepszych uczniów w pracowni, a raczej był takim wtenczas, kiedy dostał drugą nagrodę rzymską. Na nieszczęście rzucił się teraz w odmęt poszukiwań, wrażeń nieznanych i przez nikogo dotąd niewyzyskanych. Tę piękną myśl zawdzięcza osobistości tajemniczej, jakiemuś Walund'owi, który wielką miał nad nim przewagę.

Ten Walund przybył z nad brzegów oceanu Północnego. Zasadą jego było zapatrywać się na wszystko inaczej, niż drudzy. Jako dawny uczeń Denewers'a, odwiedzał często pracownię; jego pochodzenie skandynawskie dawało mu wśród uczniów pewien rodzaj powagi. I słusznie, bo jego sposób traktowa-

nia sztuki był tak niezwykły, tak nowy, pomysły tak oryginalne, że oprócz Garnitona nikt inny zrozumieć ich nie mógł.

Jest to młody człowiek, tęgi, rumiany, z twarzą pucołowatą, jasno-blond włosy, twarde, sterczące, podobne były do szerści renifera. Przypisuje on sobie wielkie posłannictwo przekształcenia sztuki. Uważa siebie za umysł wyższy, równego sobie nie mający, który odpowiednią dla siebie strawę znaleźć może jedynie w zjawiskach nowych, przez nikogo dotąd niedostrzeżonych! A tak jest na tym punkcie drażliwy, iż rzeczy w sztuce już znane i widziane o ataki nerwowe go przyprawiają.

On nie uznaje piękna w tem, co powszechnie za piękne jest uważane. Potworną brzydotą się zachwyca. Ktokolwiek miał sposobność widzieć kobietę, którą on przez zazdrość ukrywa, ten utrzymuje, że to potwór wstrętny. A on dla tej kobiety ma cześć niezmierną i stawia ją w stosunku do siebie tak wysoko, że siebie porównywa co nędznego ślimaka, zakochanego w lilii.

Dla niego róże życia powabu nie mają, mówi, że to ckliwe i niesmaczne. Najlżejsze boleści, najzwyczajniejsze kolki strachem go przejmują, a dla śmierci wyraża uwielbienie. Morgę, to jest rodzaj pośmiertnej kaplicy, gdzie znalezione trupy osób nieznanych wystawiane bywają, obrał sobie za główny punkt swoich obserwacyi estetycznych. On tam dopiero, wobec tych ciał nieruchomych, wobec uśpionych nazawsze namiętności, pojmuje, co jest spokój wieczny, szczęście po za grobem dający. Na ten temat lubi rozprawiać dużo. Do tej to smutnej stacyi, gdzie śmierć tragiczna chwilowy przytułek znajduje, przy-

prowadzał niekiedy Garnitona, Janek także dał się pociągnąć. Zrazu, wszedłszy, nic więcej nie dostrzegł, tylko resztki odzieży na ścianie zawieszone i szare tafle posadzki. Po chwili dopiero ujrzał kobietę młodą, której nie zapomni nigdy... Stała sztywna, z pod skórzanej osłony wyglądały nogi białe jak z kości słoniowej; pierś jej, jeszcze świeżą, szpeciły żółte plamy, a na niej widać było dziurę ciemną. Włosy miała rude, rozpuszczone, lecz martwe, różowa jej twarz uśmiechała się... oczy śmiały się także.

A Walund rzekł:

— Czy wiesz, co w tem jest prawdziwie pięknego?... To tylko jedno, że okropność się śmieje, wszystko inne jest pospolite. Piękność tej woskowej głowy także jest pospolita, śmierć nawet cechy nowości nadać jej nie zdoła.

Janek poczuł jakiś zamęt, ogarnął go niepokój wewnętrzny.

ROZDZIAŁ XII.

W Luwrze.

Janek wrócił do domu bardzo z siebie niezadowolony; wrażenia, jakich doznał, za niezdrowe uważał; gdy spać się położył, wspomnienie trupa męczyło go i zasnąć mu nie pozwalało. Później w pamięci stanę-

ła mu kopistka z muzeum, która tak uporczywie patrzyła na niego.

Nazajutrz poszedł do Luwru. Tam z chaosu bezładnych wrażeń otrząsać się począł, starał się myśli i pojęcia swe o sztuce uporządkować, zdać sobie z nich sprawę i dobrze zrozumieć, co stanowi prawdziwe piękno i urok. To było przedmiotem listu, który napisał do Savarette'a. Stary malarz udzielił mu rad zdrowych, na doświadczeniu opartych, które rozproszyły wątpliwości, jakie go w szkole Denevers'a opanowały.

Szkoły flamandzka i holenderska więcej go pociągały, niż włoska. Rembrandt, ten czarodziej, co brzydotę w piękność przemienił, zachwycał go i zdumiewał, na jego ciemnych tłach podziwiał efekty, wywołane przez nagłe przejście z cieniów do światła.

Rafael nie budził w nim zapału, lecz Leonardo poruszył go do głębi duszy.

Długo zatrzymał się przed freskiem Botticelli'ego; postać młodego dziewczęcia namalowana tam jest z takim wdziękiem i tyle ma anielskiego wyrazu, iż zdaje się, że z nieba spłynęła: Tycyan i Corregio podobali mu się Prudhon, Gros i Géricault trafiali mu także do gustu, ale dla Davida był obojętny, jedynie portrety jego cenił wysoko. Van Dyck go zachwycił. Dla Rubensa przejęty był uwielbieniem, tak zalety, jak wady znakomitego kolorysty podziw w nim budziły.

Dla odpoczynku przypatrywał się przechodniom, zwiedzającym muzeum; byli tam Anglicy, Niemcy i inni, ale jakże ten cały tłum szary i mały wydawać się musi, kiedy się ma przed oczyma utwory antwerpskiego mistrza!

Później zwrócił uwagę na panie, kopiowaniem zajęte; między niemi były młode, ładne, były i poważne, z siwiejącym już włosem. Wśród młodych zauważył tę, której spojrzenie tak dziwne kiedyś zrobiło na nim wrażenie. Dlaczego dziś uwagi na niego nie zwraca? Onby chciał spotkać jej wzrok jeszcze. Napróżno czeka na to. O! ona wie o jego obecności, bo maluje z widocznem roztargnieniem. Co go tak silnie ku niej pociąga? To chyba prosta tylko ciekawość, bo w gruncie rzeczy zaledwie dla niego jest sympatyczna...

Ale zkąd to pochodzi, że, oddaliwszy się od niej, doznaje uczucia, jakgdyby mu sił ubywało? Jakgdyby ona mu coś z nich odjęła. O! ona sił musi mieć bardzo wiele. Każdy człowiek ma podobieństwo do jakiegoś zwierzęcia: w niej jest coś, co ptaka drapieżnego przypomina. Jednak jest to piękność czarująca. .

Janek obserwuje ją z zajęciem, jako artysta.

Maluje wprawdzie z talentem, ale jaki powab dla niej mieć może to płótno, krwią broczące, godne pędzla Ribery? Obraz przedstawia na śmierć skazanego człowieka, którego poszarpane, skrwawione ciało z dzikiem okrucieństwem przedstawił nieznany malarz szkoły hiszpańskiej.

Odwróciła się; Janek czuje znowu długie na sobie spojrzenie, pod wpływem którego miesza się; krople potu z czoła ociera i z Luwru wychodzi.

Poszedł na obiad. Wyszedłszy z restauracyi, oczarowany został wspaniałym widokiem, jaki się oczom jego przedstawił.

Sekwana, ulice, drzewa, mosty i domy paliły się ogniem zachodzącego słońca i tworzyły obraz, jakiemu Klaudyusza Lorrain'a obrazy dorównać nie mogą. Bronz i złoto unosiło się w drobnych pyłkach powietrznych. Rzeka toczyła brylanty. Janek olśniony pomyślał: wszystkich tajemnic życia nie odkryli jeszcze mistrze uczeni i całego piękna w naturze nie odmalowali artyści. W niej szukajmy wrażeń nowych, w niej znajdziemy to, co jeszcze dotąd przez nikogo wyrażone nie zostało.

Tego samego wieczora wrażenie swoje przesłał w liście Savarette'owi, który odpowiedział mu długim listem z przyjacielskiemi radami. Janek list odczytał z rozrzewnieniem.

Potem myśl swoją skierował na tę kobietę, której spojrzenie tak dziwny wpływ na niego wywierało; czuł się niem oczarowany. Pod działaniem jej wzroku tracił siły, ogarniało go obezwładnienie, jak po opium. Widział w tem słabość moralną, wstydził się jej, lecz czar wspomnienia był silniejszy, niż wola.

Teraz nastąpił cały szereg myśli nowych, dotyczących sztuki; pomysły i marzenia snuły się jedne za drugiemi. Ach! czyby nie można odmalować strony duchowej człowieka, wyrazić na płótnie jego myśli, uczuć, drgnień duszy i jej sił tajemnych?... Czyż geniusz człowieka dokonać tego nie zdoła? Czy barw idealnych, a ogółowi dotąd nieznanych, znaleźć nie potrafi?... Trzeba szukać i próbować!

O tych marzeniach napisał zaraz do Savarette'a, i postanowił wszelkie robić usiłowania, by ten nowy ideał w sztuce osiągnąć.

Oto jest część odpowiedzi, jaką Janek dostał od Savarette'a:

„Ideał jest w tobie, oddać go musisz bezwiednie on sam z duszy wypłynąć powinien... Żadne usiłowanie na nic się tu nie zda. Poprzestań na poznaniu tajemnic natury. Czyż kwiat zastanawia się nad zapachem, który rozlewa dokoła?

„Co chcesz powiedzieć przez twoje barwy idealne, jakich nikt od czasów Adama nie widział? Nie zapominaj, że obraz, jeżeli ma przemówić do duszy, musi wprzód uderzyć oczy zapomocą materyi. Wrażenie niewidzialne wywołać musi przez widzialne. Żeby wyrazić nieskończoność myśli i uczuć, potrzeba nieskończoności materyi. Mniemanie zatem, że myśl nieuchwytna może być wyrażona w obrazie nieuchwytnym, jest bardzo błędne. Dla oddania w obrazie całego obszaru pojęć duchowych, potrzeba całego obszaru klawiatury materyalnej. Oto dla czego Rubens nie jest nigdzie tak potężny, jak w swoich apoteozach; a Rembrandt, malarz uczuć niewidzialnych, jest tak wysoko ceniony.

„Przypatrz się Poussin'owi; jeszcze mi o nim wcale nie wspomniałeś. Weź jego ostatnie obrazy, w których otrząsnął się z wpływu włoskiego, zobacz, jak proste są jego sposoby, zapomocą których do duszy naszej przemawia. Podziwiaj tę naturalność, z jaką przedstawia „Ziemię“, jeszcze miękką po potopie, jak powiedział Hugo.

„Czy sądzisz, że on się wyczerpywał w daremnych poszukiwaniach na to, by oddać pierwsze blaski światła, świeżo przez Stwórcę wywołanego? On, który myśl na pierwszem stawiał zawsze miejscu, i który powiedział: „Czas mi już umrzeć, bo mógłbym zostać kolorystą.“ Cóż to za prostota w jego obra-

zach! Jakże piękne są jego: „Ruth i Booz“, „Ziemia obiecana“, „Apollo w Dafne zakochany!“

„Poussin był jednym z największych geniuszów nietylko w sztuce francuskiej, ale w sztuce wszechświatowej.

„Ogólną zaletą wszystkich mistrzów znakomitych jest prawda i pod tym względem w ich utworach jest rodzaj braterstwa.

„To, co w nich prawdziwie piękne, rzuca się w oczy i nadaje im wartość nieśmiertelną.

„Są to wzory dobre, uczyć się z nich można wiele, bo to dzieła mistrzów, którzy szli za duchem czasu, popychani jego prądem gorącym, i to właśnie stanowi ich oryginalność.

Savarette.“

ROZDZIAŁ XIII.

Zwycięztwo.

Ten list, pełen zdań i uwag mądrych, napisany w tonie surowym, a za swobodą przemawiający, dobrze na Janka oddziałał. Od miesiąca w pracy się zaniedbywał; do Luwru uczęszczał wprawdzie, lecz nietyle dla badania dzieł mistrzów, ile dla tej kobiety, która całą jego myślą zawładnęła. Jej spojrzenie tak jasne, rzucało mglisty cień na jego serce.

Z początku uważał to za igraszkę, za kaprys przemijający. Czy tu działała antypatya, czy jakiś dziwny pociąg, on sam nie wiedział, wytłómaczyć sobie tego nie umiał, czuł tylko, że doznaje rozkoszy, którą się poił chętnie. Nie widział niebezpieczeństwa w tem, co za zwyczajną brał zabawkę, do dawnych jego niewinnych miłostek podobną.

Wkrótce zabawka przybierać zaczęła charakter miłości, chociaż jeszcze nie głębokiej, ale już szkodliwie działającej, bo odrywała go od pracy i obojętnem czyniła to, co go dotąd najżywiej zajmowało.

Teraz spostrzegł niebezpieczeństwo i w liście do swego kierownika i przyjaciela w szczerości serca wyznał wszystko. Na to Savarette odpowiedział krótko:

„Zakazuję ci bezwarunkowo uczęszczać do Luwru, dopóki się zupełnie nie wyleczysz."

Janek był posłuszny, miał na to jeszcze dość siły. Potrafił oprzeć się pokusom, które go nagabywały. Unikał towarzystwa Walunda i Garnitona i zaczął przychodzić do siebie. Pomału odzyskiwał dawny spokój duszy i równowagę umysłową. To odbiło się w jego pracach. Denevers znowu był zadowolony i z rysunku jego i akuratności, z jaką uczęszczał do szkoły. Powróciła dawna wesołość i znowu zachwycał się, jak dawniej, pięknością natury.

Wiosna kwiecista jaśniała cudnemi barwami. Ogród Luksemburski był prześliczny. Janek chodził tam zrana po pierwszem śniadaniu. Marzył, siedząc pod kasztanami, gdzie dolatywał zapach bzu. Uczniowie, księża, ładne kobiety przebiegali przez ogród jeszcze cichy o tej godzinie. Ta cisza przerywana zdaleka dochodzącym odgłosem toczących się wozów

przypominała mu wioskę rodzinną. Uczuł gwałtowne pragnienie zobaczenia swoich. Ach! gdyby teraz mógł się znaleźć wśród nich! Łzy zakręciły mu się w oczach, dusza czystem uczuciem się odezwała.

W tym czasie Denevers pisał do Savarette'a.

„Wyrazić nie potrafię, drogi mój przyjacielu, jak jestem zadowolony z naszego młodego Gerard'a. Po pierwszych próbach, któremi byłem zachwycony, zachwiał się chwilowo. Szkołę zaniedbywał. Ale siła, szczerość i śmiałość rysunku wróciła. Cóż to za sympatyczna dusza! A jak on ciebie kocha! jaką okazuje mi wdzięczność za moją dla niego przychylność!

„Nie mogę się powstrzymać, muszę napisać kilka słów o jego szkicu. Powiadam ci, mój drogi, że to szkic zadziwiający... ma pewne braki, ale jest prześliczny! Czemże są wszystkie sztuczne, wymuszone wymysły wobec tej dziewiczej swobody i szczerości? Ach ileż w tem jest powabu!... Jest tam prostota dziecięcia i potęga mistrza!"

Denevers.

W kilka dni po odebraniu listu Savarette przybył do Paryża. Zwykle na wiosnę przepędzał tu dwa lub trzy tygodnie. Janek z niecierpliwością oczekiwał jego przyjazdu. Z prawdziwą radością obaj się witali. W samą porę przybył stary przyjaciel, by podeprzeć młodzieńca w jego dobrych zamiarach i ocenić jego studya. Uznał je za dobre i pochwalił.

Janek nie ukrywał i swoich poronionych płodów, które były owocem wybujałych urojeń, pokazał swo-

je próby w rodzaju kropkowanym *). Na co Savarette powiedział:

— Pamiętaj o tem, że natura w swoim ogromie jest bardzo urozmaicona, że niema w niej dwóch rzeczy jednakowych, jakże więc, do oddania jej w sztuce, stosowany być może ten sposób tak jednostajny i regularnie wymierzony? jest to jeden z najniedorzeczniejszych pomysłów ludzkich.

W tym czasie był w szkole konkurs szkiców. Savarette był wezwany do grona jury i miał to zadowolenie, że był świadkiem powodzenia Janka, który został uznany trzecim, a zasługiwał na więcej nawet przez swe oryginalne i śmiałe pomysły. Uważał sobie za miły obowiązek uwiadomić o tem pana Gerard'a.

Wkrótce Savarette odjechał, Janek sam został wśród towarzyszów; nie znalazł między nimi ani jednego, któremuby mógł serce swe i myśli otworzyć.

To moralne osamotnienie prowadzi za sobą smutek. W pracowni nie zawsze wesoło. Są tam czasem piosenki, są żarty niedorzeczne, ale niema prawdziwej wesołości. Bywają niekiedy gryzące dowcipy i złośliwa ironia, z poza której zazdrość przegląda. Janek wolałby głośny i gruby śmiech prostaka, niż tę ironię zjadliwą.

Botticella.

Tego dnia Janek szedł przez Luksemburg spieszniej niż zwykle. Słońce świeciło jasno. Bzy i ka-

*) Mowa tu o „pointilizmie“ francuskim. (Przyp. tłom.).

sztany przekwitły, ale rozwijały się granaty i kwiatem szkarłatnym się pokrywały.

Janek szedł do Luwru, gdzie nie był już od trzech tygodni. Zdawało mu się, że jest zupełnie ze swej gorączki wyleczony, to też szedł krokiem pewnym, oddychając odurzającym aromatem. Do Luwru popychała go chęć poznania dzieł mistrzów, które mu Savarette zachwalał, a które on znał zaledwie powierzchownie.

Ztąd pochodził ten pośpiech? Co do sideł, na niego zastawionych, on się ich nie boi, on ich uniknąć potrafi; był pewien siebie. Zresztą dziś nie pójdzie do wielkiej galeryi.

Wszedł drzwiami, które prowadzą koło cudnego fresku Botticelli'ego, wprost do sali francuskiej z XVIII wieku.

Przebiegł ją, na nic nie patrząc, wszedł do sali Poussin'a, o którym mu tyle Savarette mówił. Wszystkie dzieła tego znakomitego mistrza oglądał jedno po drugiem.

Długo się zatrzymał przed jego ostatnim obrazem, niedokończonym „Apollo zakochany w Dafne", jest to najcudniejsze marzenie, jakie sztuka stworzyć mogła. Stał zapatrzony i podziwiał tę harmonię uczuć ziemskich i boskiej rozkoszy... Zachwycały go grupy rozrzucone z nadzwyczajnym wdziękiem w pięknym pejzażu.

Był w uniesieniu. Nagle w oczach mu się zaćmiło, jakaś niewyraźna mgła obraz przysłoniła. było mu niedobrze, czuł dziwny ucisk, ogarnął go niepokój.

Usiadł na ławce; w sali było cicho i pusto. Naraz, jakgdyby go niewidzialna siła poruszyła, wstał

i skierował się ku wielkiej galeryi. Serce mu biło. Przeszedł przez salę francuską i już, u drzwi będąc, dostrzegł ją; ta, której szukał, stała nieco pochylona, rozmawiając ze stróżem.

Zobaczyła Janka, uśmiech przebiegł na jej wąskich ustach, usiadła i pędzle wzięła do ręki.

On usiadł także na ławeczce, po jej lewej stronie i teraz nic już prócz niej nie widział. Ona nie zwracała się ku niemu, była roztargniona, poznać to można było ze sposobu jej malowania, myśl nie kierowała pędzlem. Widział jej profil. Gęste włosy prawie zupełnie zasłaniały czoło, nos śliczny, nozdrza rozszerzone, usta wąskie, nieco wygięte, kącik ich puszkiem pokryty, na skroni także delikatny puszek rozsypany. Jej oczy kocie, głęboko osadzone, w tej chwili spuszczone, uparcie blask swój skrywały.

Janek, swoją słabością przerażony, już oddalić się zamierzał, wtem ona, przechyliwszy ku niemu głowę, objęła go czarującem spojrzeniem.

Zmieszał się, lecz pozostał; walcząc sam z sobą, w obawie nowego z jej strony ataku, zwrócił oczy w głąb galeryi.

W odległości kilkunastu kroków spostrzegł dość liczne grono osób przed „Syrenami“ Rubensa. Stoją, jakgdyby oczarowani ich podstępnym śpiewem. Istotnie, syreny w obrazie tak są żywe, iż zdaje się, że im tylko głosu braknie.

Janek wstaje, zbliża się i widzi niebawem, co tych ludzi zatrzymuje, jak przykutych, około stalugi, na którą zrazu uwagi nie zwrócił.

Stoi i oczu oderwać nie może.

A przecież to rzecz tak zwyczajna.

Młoda osoba na ruchomem podwyższeniu stoi i transponuje morskie czarodziejki pastelem. Skromna, w szarej sukni, stała spokojnie i malowała.

Wszystko, co jest najpiękniejszego w obrazie antwerpskiego mistrza, w jej rysunku jaśniało szczególniejszym wdziękiem i świeżością. Jej drobna, wątła ręka wykonywała z zadziwiającą łatwością i siłą.

Przejęta zapałem, oddana pracy, nie dbała o hołdy, które ją otaczały, żyła tylko dla sztuki, świat zewnętrzny jej nie zajmował, a tak była wiotka, tak zdawała się lekka, jakgdyby ulecieć miała w sfery nadziemskie.

Jej mała rączka biegała szybko, sięgała do pudełka, zmieniała ołówki, to lekko się posuwała, to silniej naciskała; kruszyła i różowym, delikatnym paluszkiem rozcierała i rozprowadzała pastel czarodziejski, z pod którego wydobywało się i rozwijało życie w obrazie.

Twarzy jej Janek widzieć nie mógł, po chwili głowę podniosła i badawczo na swoje syreny patrzyła. Ten ruch odsłonił szyję, na którą czarne włosy spadały w zwojach połyskujących.

Janek, posunąwszy się o parę kroków naprzód, ujrzał jej śliczny profil, a był to ten sam rodzaj, co tamten w wielkiej sieni na fresku, którym się tak zachwycał, na który patrzył zawsze z upodobaniem.

Tak, rodzaj ten sam, tylko jej profil jest jeszcze piękniejszy.

Piąta godzina uderzyla, ona pudełko zamknęła.

Janek stał, był jak we śnie, zbudziło go głośne wołanie stróża:

— Zamykają! zamykają!

Poszedł machinalnie za innymi... Ona, z okiem spuszczonem, z twarzą obojętną, przesunęła się obok niego.

ROZDZIAŁ XV.

Rozterki duszy.

Janek wyszedł z muzeum rozpromieniony i pełen zachwytu dla tej anielskiej istoty, którą tak niespodzianie na swej drodze spotkał. Przechodząc obok tamtej drugiej, zaledwie spojrzał na nią z niechcenia; ona wzamian rzuciła mu pogardliwy uśmiech, bo scena jego niemej adoracyi nie uszła jej uwagi, lecz pocisk był chybiony, Janek przyjął go obojętnie.

Idąc, myślał:

— O! już ja tej kobiety widzieć więcej nie chcę; teraz pragnę tylko czcić anioła, który mi się objawił... ale trzeba stać się tego godnym!

Był bardzo poruszony. Wyrzucał sobie słabość swoją, że uległ jakimś złym podszeptom i, nie bacząc na sidła zastawione, dobrowolnie na niebezpieczeństwo się narażał.

Nie dziwmy się, widząc Janka tak podnieconym wobec pokuszeń zręcznej i namiętnej zalotnicy, która w tym pięknym, świeżym i dobrodusznym młodzieńcu

obiecywała sobie znaleźć ucztę niezwykłą; nie dziwmy się także, że on, co tak łatwo żądzom owładnąć się dawał, był przytem tak lękliwy, iż każdy śmielszy krok przerażał go i do ucieczki pobudzał.

W tem różnił się od wielu młodych ludzi, którzyby podobny wypadek za traf szczęśliwy dla siebie uważając, bez wstydu z niego korzystali i zaraz potem byli gotowi młodej skromnej i czystej kobiecie swe pospolite i zbrukane serce złożyć w ofierze.

Przypomnijmy sobie to dziecię, w ciszy wiejskiej rosnące, czułe na piękno natury, które je otaczało, wcześnie do gorących uniesień skłonne, przypomnijmy sobie jak chłopiec pełen zapału i szczerej prostoty do szkółki chodził; jak później, z domu do szkoły oddany, objawiał nadzwyczaj żywą wyobraźnię, która tworzyła niepojęte widzenia mistyczne. Przedstawmy go sobie później w wieku młodzieńczym, pełnego marzeń dziewiczych, a zrozumiemy może ten zamęt, jaki, się zrodził w czystem jego sercu w skutek silnych a dotąd nieznanych wrażeń, zrozumiemy walkę duszy, szarpanej najsprzeczniejszemi uczuciami i wystawionej na liczne pokusy.

Przysiągł, że do Luwru chodzić będzie jedynie dla badania dzieł mistrzów... i dla Botticelli.

Następnego dnia, gdy przybył, przeszedł przedsionek, bez namysłu wbiegł na schody, wznoszące się nad wspaniałym Zwycięstwem Samotracyi i poszedł prosto do kwadratowej sali Szkoły francuskiej.

Chcąc uniknąć niebezpieczeństwa, jakie mu groziło w wielkiej galeryi, postanowił czekać u wyjścia, żeby tylko zobaczyć Botticellę, a potem iść za nią zdaleka. Jakież było jego zdziwienie. Ona tam była...

ta anielska istota! Kopiowała główną grupę z obrazu Davida „Rzymianie i Sabińczycy.“

Janek, myśląc, że to była robota na obstalunek z żalem patrzył na jej pracę; ale ta czarodziejka i w te martwe malowane posągi potrafiła tchnąć życie.

I tu ją otoczyli wielbiciele, a ona i teraz, jak zwykle, obojętnością im za to płaciła.

Janek, zdaleka stojąc, patrzył na nią długo, uwielbieniem przejęty.

— Ach! gdyby ona uwagę na niego zwrócić chciała!... Gdyby choć raz na niego spojrzała!... Alboż jej oczy widzą, co się koło niej na ziemi dzieje?...

I ręce złożył na piersiach, jak przed świętą, a w duszy drżało uczucie czyste jak modlitwa.

Codziennie powtarzały się jego do Luwru pielgrzymki; czuł się szczęśliwym, kiedy zobaczyć mógł tę anielską istotę, która na niego zbawiennie, choć bezwiednie oddziaływała; dawna pogoda do jego serca wracała.

Niestety! pewnego dnia poszedł do wielkiej galeryi, chciał zobaczyć tylko, czy tamta tam była. Prosta ciekawość.

Zobaczył ją, odnowiła się rana, sam sobie wyrzucał swój krok nierozważny.

Wrócił do domu niezadowolony z siebie, prawie chory. Te różnorodne wzruszenia przyprawiły go o rozstrój nerwów.

Nawet piękno natury straciło dla niego swój powab. Nadaremnie próbował znowu przechadzki do Luksemburgu. Pogoda była piękna. Jego nic nie cieszyło. Cudny, ponsowy kolor kwitnących granatów drażnił go. Zdawało mu się, że bratki ze współ-

czuciem spoglądają na niego. Szedł zwolna aleją, do Obserwatoryum prowadzącą, nie zwracając uwagi na posągi, które ją zdobią. Wszystko dla niego było obojętne, wszystko zimne i milczące.

Czyż on już nigdy ze swego szaleństwa się nie wyleczy?...

Ach! żeby kochać mógł anioła, którego uwielbia!

Jego stan moralny, jak to zwykle bywa, wywarł wpływ i na sztukę. Przestał wierzyć w swój talent, maluje źle, rysunek poprawia bez końca. Nie mogąc oddać ideału, jaki ma w duszy, psuje i koszlawi sztukę. Praca nie sprawia mu już zadowolenia, życie traci swój powab..

Od trzech tygodni leży na stole list Savarette'a i na odpowiedź czeka. Savarette, zaniepokojony, do Denevers'a po wiadomości się zwrócił i odebrał od niego odpowiedź następującą:

„Uspokój się, kochany przyjacielu, Jan Gerard nie jest chory. Jeden z jego towarzyszów mówił mi, że go widział dziś rano i jest zupełnie zdrów. Ale nie umiem sobie wytłómaczyć, jak mogła po wielkiej gorliwości, jaką się odznaczał, nastąpić taka opieszałość. Zaczyna i rzuca rysunki w połowie zaledwie zrobione. Zatraca swą dawną w rysunku szczerość i prostotę, która sprawiała, że jego postaci były żywe i naturalne, kiedy dziś są ciężkie i liche. Miałżeby on uledz tej zgubnej w malarstwie chorobie, co rzeczy proste i zrozumiałe za pospolite i oklepane poczytuje, a goniąc za czemś nieznanem, tworzy zagadki, których nikt nie rozumie?

„Od dziesięciu dni nie pokazuje się w Szkole.

Kolegów unika. Mówiono mi, że zamknął się w domu i z nikim się nie łączy.

Kiedyś widziałem go, szedł ulicą Bonapartego; myślałem, że idzie do szkoły, a on, jakgdyby się mnie obawiał, zamiast iść dalej w tą stronę, cofnął się i skręcił przez bulwar Saint Germain.

W przeszłą sobotę, czekając na otwarcie posiedzenia w Instytucie, przechadzałem się po Luwrze. W wielkiej galeryi spotkałem Janka, nie mógł uniknąć spotkania. Zobaczywszy mnie, zarumienił się, jak piwonia:

— To bardzo dobrze—rzekłem mu—że przychodzisz studyować mistrzów.

On wyjąknął zmieszany:

— Robię szkice.

— Pokaż mi twoje album.

Coraz bardziej pomieszany, niby szukając albumu, wyszeptał:

— Ach! zapomniałem!

„Widocznie jest w tem jakiś wybryk młodzieńczy, jakieś zapomnienie się chwilowe, nie mające, zapewne wielkiego znaczenia.

Alboż przez to nie przechodziliśmy wszyscy?...

Twój stary

Denevers."

Do Jana Gerard'a.

„Nie pojmuję przyczyny twego milczenia. Wyznaję, że ono mnie trochę niepokoi. Podejrzewam, że tu w grę wchodzą nowe miłostki.

„Cokolwiekbym ci powiedział, na nicby się w tym razie nie zdało. Wiedz, że prawdziwą sprawiłbyś mi przykrość, gdybyś się takim niedorzecznym urojeniom poddawał. Trzeba zmienić otoczenie, to dobrze wpłynie na twój stan fizyczny i moralny.

„Usłuchaj mojej rady. Jedź na kilkanaście dni do Fontainebleau, potem do Marlotte i do Barbizon. Las i zdrowe powietrze wzmocni siły i pokrzepi ducha.

Savarette."

ROZDZIAŁ XVI.

Janek odpisał swemu zacnemu opiekunowi z podziękowaniem za jego dobrą radę. Przyrzekł, że do Fontainebleau wyjedzie; ale na wyjazd zdecydować się nie może.

Tu wszystko go drażni i wszystko pociąga. Szalone myśli przychodzą mu do głowy. Luwr go przestrasza i nęci zarazem. Ileż to razy przychodził do drzwi, stał długo, wahając się, i po namyśle wracał do domu.

Pewnego dnia wszedł, oprzeć się nie mógł pokusie. Zrobił z pamięci portret Botticelli, w długiej tunice, z pod której wychodzą duże skrzydła. Pierwszy rysunek, który mu się udał, od dwóch tygodni. Wszystkie inne nic niewarte.

Z wielkiemi ostrożnościami zabrał go do Luwru. Botticella jeszcze kopiowała Rubensa.

Janek skorzystał z chwili, w której wyszła do przyległej sali, zbliżył się do stalugi i wsunął ukradkiem swój rysunek do pudełka z pastelami. Potem usunąwszy się na bok, stanął po za starym kopistą i, zasłonięty przez niego, czekał.

Długo nie wracała. On czekał. Nareszcie weszła. Janek źle się umieścił, widzieć ją mógł tylko z tyłu, trudno więc było odgadnąć wrażenie, jakie sprawił rysunek.

Obejrzała spokojnie, żadnego nie objawiając zdziwienia, odwróciła go ostrożnie i, oparłszy na wieczku, w pudełku starannie umieściła, nie zastanawiając się nad tem, od kogo pochodził. Potem wzięła pastele i rysować zaczęła.

Janek oddalił się uradowany.

— Ach!—myślał—żeby choć raz spojrzeć chciała na niego, czuje, żeby był uratowany, jej spojrzenie byłoby gwiazdą, życie mu rozjaśniającą. Skończyłyby się jego udręczenia! Wróciłoby natchnienie. O! jakże onby chciał kochać ją duszą całą!...

Ale tamta druga ma go w swej mocy, tamta jego zmysły opanowała i zabrała serce chore. Ona jest tam... ujść przed nią nie może. Pewnie czeka na niego, pilnuje chwili, w której przechodzić będzie. Zatrzymał się...

W istocie czekała na niego i, poruszając pędzlem machinalnie, śledziła go ukradkiem. Gdy się zbliżał, nieruchomie wyprostowana stanęła i wzrokiem go objęła, pewna siły swego spojrzenia. Tym razem Janek odniósł zwycięztwo; wytrzymał jej wzrok i przeszedł.

Ale dlaczego drżał cały, dlaczego zachwiał się tak silnie, że, aby nie upaść, chwycić się musiał poręczy?... W głowie miał zawrót, a ból w piersi. Było mu duszno, potrzebował powietrza i śpiesznie wybiegł na ulicę. Szedł bez celu. Bezwiednie szedł do dworca Montparnasse, tu się znalazłszy, wziął bilet do Clamart. Bał się swojej słabości; uciekał przed tą potęgą, którą się brzydził, a którą kochał niestety!...

Wrócić, nakarmić się tym zgubnym czarem, było w tej chwili szalonem jego pragnieniem. Jakże czarno było dokoła! Przyzywał Botticellę, ale obraz jej, jaśniejący w blasku aureoli, uciekał daleko, daleko, daleko.

Przed miesiącem tak był szczęśliwy, gdy, wyszedłszy z pracowni, biegł do tego samego Clamart i tam świeżem powietrzem oddychając, malował z natury.

Teraz Clamart dla niego ponure; nic mu się tu nie uśmiecha. Słońce go razi, powietrze wydaje mu się ciężkie. Wszedł do lasu, w ciszy i samotności szukał na swój ból lekarstwa.

Nic nie pomogło, wrócił zmęczony i przygnębiony.

ROZDZIAŁ XVII.

Mirta.

Noc przyniosła mu ukojenie i podała radę. Poszedł do Luwru z mocnem postanowieniem, że przejdzie śmiało koło tej dziwnej kobiety, nie spojrzawszy na nią i uda się wprost do Botticelli, aby na nią patrzeć i pod wpływem jej uroku nabrać sił moralnych. których mu tak bardzo brakło. Niestety, okazał się zbyt słabym! Wzrok jej podziałał zgubnie, upoiła go spojrzeniem, siła jej czaru była tak wielka, że jej się oprzeć nie umiał, zawładnęła nim zupełnie.

Czuł się bezbronnym, poddał się jej, i sam nie wiedząc jakim sposobem znalazł się tuż obok jej stalugi. Pędzel wypadł jej z ręki, on schylił się, podniósł i oddał jej, oczy mając w jej oczach utopione.

Ona podziękowała i zaraz dalej mówiła:

— Pan jesteś malarzem, widuję go tu często.

Zmieszany prawie szeptem odpowiedział, że jest uczniem Denevers'a w Szkole Sztuk Pięknych.

— Pan Denevers—rzekła—to znakomity malarz, dzielny pędzel! Ja brałam od niego lekcye... Tak... ja wiedziałam... Pan jesteś Jan Gerard... profesor wysoko pana ceni... Może mi pan zechce dać radę... mam tu trudności z tą ręką... nie udaje mi się .. Jakiż to znakomity malarz, ten nieznany twórca tego

obrazu... To śmiałe i wstrząsające, jak pędzel Ribery. Czy nie podziela pan mego zdania?

Ach! jak czułem spojrzeniem go przytem pieściła!

Wymawiał się... nie śmiał... Ona mówiła dalej:

— Mów pan śmiało, bez obawy, proszę, proszę! Ja nie jestem Francuzką... Nie, mój kraj ztąd daleko, daleko... Rumunia — to moja ojczyzna... Moje imię Mirta, jestem w Paryżu od lat trzech z moim wujem, hrabią Washcetti, który tu ma ważną misyę do spełnienia. Zachwycam się Paryżem. Pan Denevers mnie zna, widział moje początkowe studya. Bardzo był dla mnie uprzejmy... Ja mam stosunki rozległe... Pan jesteś młody... bez protekcyi zapewne... Mogłabym mu być pomocną: pan wie, jak wielkie znaczenie mają cudzoziemcy we Francyi, szczególnie w naukach i sztukach. Pan... pan budzi we mnie zajęcie... Chciałabym pokazać panu moją pracę.

I, topiąc w nieśmiałym młodzieńcu wzrok ogniem żądzy błyszczący, głosem przyciszonym mówiła:

— Tu mówić swobodnie nie możemy... chciałabym widzieć się z panem gdzieindziej i pokazać mu moją pracownię... Może zechce pan zobaczyć mój obraz? Pan rozumie.. musimy być sami! Przedstawia scenę bardzo dramatyczną... Ja lubię tylko dramaty i powiem panu...

Janek, niewyraźnie jąkając się, odpowiedział: „Oh! dziękuję, pani jest bardzo uprzejma... może będę miał śmiałość... postaram się... tak...

— Niech się pan nie boi, rzekła bardzo cicho, ja mu jestem życzliwą... jeżelibyś mnie pan potrzebo-

wał, proszę mi powiedzieć... Doprawdy! upewniam pana... ja mam przyjaciół, którzy wiele mogą...

— Bardzo przepraszam, do widzenia, mruczał Janek, kłaniając się, i wybiegł prędko, jakgdyby uciekał przed grożącą niechybnie katastrofą.

Wracał prosto do siebie, na nic nie patrząc i nic nie widząc. Przyszedłszy, machinalnie rzucił się na łóżko, twarz rękoma przysłonił i rozpaczliwie powtarzał: „Ona mnie oczarowała, ja wobec niej jestem bezsilny; ona mną zawładnie, igraszką będę w jej rękach... Przepadła moja swoboda, moja godność, moja sztuka i Botticella, której spojrzeniem mojem profanować nie chcę... Przysięgam, że na nią już oczu nie podniosę... nie jestem tego godny... W chwili, kiedy od tamtej uciekłem, widziałem zdaleka głowę tej uroczej istoty... zdawała mi się bardzo smutna“.

Na zakończenie dodał: „szalony jestem“. I zasnął zmęczony.

Kiedy się obudził, było już zupełnie ciemno. Wstał, głowa mu ciążyła, nogi się plątały, był jak pijany.

Tak! pijany był i wykonał przysięgę, że do Luwru nie pójdzie, dopóki prześladować go będzie miłość do tej kobiety.

Przez tydzień zamknął się, nie przyjmował znajomych. Chciał pracować, wziął ołówki, napróżno, nic zrobić nie mógł. Próbował narysować Mirtę. Tak, zrobi Mirtę w karykaturze, żeby sobie ją zbrzydzić. W kilku pociągnięciach ołówka uchwycił nadzwyczajne podobieństwo, ale przedstawione w formie potwornej. Chuda, z ogromną grzywą, z oczyma wilczycy i z wyrazem żarłoczności, usta miała w łuk bardzo wygięte, nos z wydatnym garbem, brwi długie, całość

wstrętem przejmująca... A on czuł jeszcze większy do niej pociąg, jeszcze bardziej jej pożądał. Gniew go ogarniał i mówił sobie: „jestem waryat... nienawidzę jej, nienawidzę! Ach! żebym mógł kochać tamtą! Żeby Botticella?.. Czemuż jej pierwej nie ujrzał! Wtenczas, kiedy ten anioł mu się ukazał, Mirta już mu serce zabrała!

Przychodziły chwile, w których widział jasno, że to wszystko było z jego strony niedorzecznością, że te jego urojenia to są strzały, w próżnię rzucane. Jedna zabawkę sobie z niego robiła, a druga czyż kiedykolwiek o nim pomyśli, choćby na chwilę?.. Co warte to wszystko?.. Marzenia nierozsądne, które po kilku dniach zastanowienia zimna rozwaga rozwieje i żalu nawet po sobie nie zostawią.

Myśli takie utrwalały się coraz bardziej w jego umyśle. Odczytał listy Savarette'a, przebiegł myślą jego zacne życie, pełne poświęceń i sztuce zupełnie oddane. Jest to wielki malarz i człowiek wielki. To więcej niż talent znakomity... to charakter!

I Janek przysiągł, że we wszystkiem pójdzie za jego radami. Otóż jest znowu przysięga! Mirta powiedziałaby, że to przysięga pijanego!

Robił wszelkie usiłowania, żeby przygłuszyć uczucia, jakie nim wstrząsały. Więc najprzód przeglądał swoje świeże studya, krytycznem na nie patrząc okiem. Ostatnie stanowczo są złe; przebija w nich impresyonizm chorobliwy. Coby na nie Savarette powiedział? Później chciał czytać. Denevers pożyczył mu „Obrazy z podróży“ Henryka Heinego. Otworzył książkę. Od pierwszej kartki był nią zachwycony. Siła, rozum, fantazya, zdania głębokie, poezya, wszystko jest w tej książce, czytał ją chciwie, oderwać się

od niej nie mógł. Czuł się uleczony, wrócił sen pokrzepiający.

Jednego dnia wstał zrana wesół i poszedł do Luksemburgu czytać Heinego. Dziwił się, że mógł z małych rzeczy robić wielkie. To z pewnością nie była miłość, on tej kobiety nie kochał, dlaczegóżby więc nie mógł kochać tej drugiej? Rozkoszował się świeżością powietrza i blaskiem słońca, które jeszcze zbyt silnie nie dogrzewało. Po co czytać, kiedy dzień taki piękny? Złożył książkę i oddał się marzeniom. Wspomnienia tłumnie się zbiegły i błogiem uczuciem napełniły duszę.

Wtem uczuł głód dojmujący, czego oddawna nie doznawał. Wstał z ławki i poszedł na śniadanie.

Wkrótce po śniadaniu, obraz tej niebezpiecznej kobiety znowu prześladować go zaczął, nadaremnie oddalić go z myśli usiłował, natarczywie powracał ciągle. W nadziei, że ruch i świeże powietrze dręczącą marę rozpędzą, poszedł do lasku Bulońskiego. Tam zmęczony, położył się na trawie i myślą cofnął się w przeszłość. Zdawało mu się, że widzi wszystkich swych ukochanych, że słyszy ich głos, a wszyscy wołają do niego: „Strzeż się tej kobiety!“

Wypocząwszy, wstał i poszedł w stronę jeziora. Zmrok już zapadał, jelonki, brzęcząc, unosiły się w powietrzu. Uderzeniem ręki strącił ich kilka na ziemię; to przypomniało mu jego dziecinne zabawy. Rozweselił się i Mirta nigdy nie zajmowała go mniej, niż w tej chwili.

Nagle od strony pawilonu Armenonville dały się słyszeć tony muzyki cygańskiej, to go pociągnęło i bez namysłu tam poszedł. W restauracyi pełno było osób, Janek, znalazłszy w cieniu drzew miejsce wolne,

zajął je przy stoliku, obok którego dwa miejsca były zamówione, jak o tem świadczyły krzesła przechylone oparte o marmurowy blat stolika.

Zaledwie Jankowi zupę podano, powstał szmer wśród obecnych, wszystkie oczy skierowały się ku wejściu. Janek spostrzegł ją odrazu. Ją... Mirtę! Cyganie znali ją widać, bo kiedy między krzesłami się przesuwała, idąc za garsonem, który jej miej ce wskazywał, orkiestra na jej cześć zagrała marsza Rakoczego.

Janek, bardzo blady, serce przyciskał ręką, jakgdyby chciał powstrzymać fale krwi, do serca gwałtownie napływające.

Za nią szedł poważny mężczyzna, włosy i wąsy miał siwe, ostrzyżony krótko, wyglądał na wysłużonego oficera wyższej rangi, przy dziurce od guzika miał wstążeczkę różnokolorową. Mirta oddała płaszczyk garsonowi, wzięła od niego markę i usiadła na miejscu, dla niej przeznaczonem, naprzeciw Janka, a jej towarzysz obok niego.

Teraz dopiero spostrzegła Janka, który nie wiedział jaką postawę ma przybrać, by ukryć pomieszanie. W pierwszej chwili myślał, że była sama, ponieważ jej towarzysza zatrzymał przy wejściu jakiś jegomość, także udekorowany, który rozmawiał z nim pocichu i wręczył mu list. Gdy zobaczyła Janka, wstrząsnął nią dreszcz gwałtowny, jednak zupełnie swobodnie odezwała się do niego: „A! pan tu!“ Potem, zwracając się najprzód do towarzysza, przedstawiła Janka: „Pan Jan Gerard, najlepszy uczeń Deneversa, przez którego został mi przedstawiony w Luwrze“ a potem do Janka, patrząc mu w oczy: „Mój wuj

Washcetti". Panowie podali sobie ręce i jakieś pospolite grzeczności wzajemnie sobie powiedzieli.

Obiad musiał być wcześniej zamówiony, bo go niezwłocznie podano.

Cyganie grali dalej marsza. Janek przelotne rzucał spojrzenia na Mirtę, czując, że znów jest pod wpływem jej czaru bezbronny. Ach! jaka ona piękna, mimo oryginalności rysów!

Rozmowa nawiązać się nie mogła; od czasu do czasu rzucono sobie kilka słów o pogodzie, o wypadkach bieżących, lub jakiś pospolity frazes o sztuce.

Wtem zrobił się ruch. Urzędnik z telegrafu przybył i oddał depeszę panu Washcetti. Ten otworzył ją, przeczytał raz i drugi, zbladł, widocznie był zmieszany. „Co to jest?" zapytała Mirta, on dał tylko znak milczenia, depeszę drżącemi złożył rękami i rzekł z pośpiechem: „Sprawa ważna, zostawiam cię, karetę zaraz odeślę". Nie dokończywszy pierwszej potrawy, rachunek zapłacił, skinieniem głowy Janka pożegnał, a Mircie rzucił krótkie: „Do widzenia! Ulica Wiktora Hugo".

Zostali sami, ona pierwsza mówić zaczęła: „Wuja powołały jakieś interesa niepokojące, ja jednak szczęśliwa jestem, że mnie nie zabrał z sobą... Co się z panem dzieje? Nie pokazujesz się w Luwrze".

W tej chwili cygan, który, według zwyczaju, zbierał składkę, zbliżył się ze swoim talerzem do Janka, który położył franka, a potem zwrócił się do Rumunki, ta, otworzywszy szyldkretową portmonetkę wydobyła pięć franków i rzuciła cyganowi, mówiąc: „Dobrze było, ale już nie tak, jak dawniej, teraz zanadto po francusku gracie".

Cygan skłonił się i odszedł.

Ona, wsparłszy się łokciami na stole, zwróciła się i pochyliła ku Jankowi, i mówiła tylko o nim samym. Już go widziała jaśniejącego chwałą, odbierającego nagrodę Rzymską, on będzie chlubą swojego kraju, ona przyklaskiwać mu będzie, ona, światu nieznana, z oklaskami pośle mu duszę całą! O! jakżeby szczęśliwą się czuła, gdyby choć w najmniejszej cząstce przyczynić się mogła do wywołania natchnienia przy tworzeniu przyszłych arcydzieł!..

„Nie sięgajmy tak daleko, odrzekł młody artysta; a pani co maluje oprócz kopii swych w Luwrze?“

„Mówiłam panu, scenę bardzo dramatyczną, zobaczy pan. Proszę tylko przyjść... zrana... W tym tygodniu pracować nad tym obrazem będę... Ale jutro po śniadaniu pójdę do Morgi. Dostałam pozwolenie, zrobię tam studyum z młodego człowieka, który został zamordowany... jest prześliczny! Do mojego obrazu doskonały; zobaczy pan!“

Biedny Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć; mówił bez myśli, tak lub nie. Już nie należał do siebie, był zupełnie w jej mocy. Długie chwile mijały w milczeniu, siedzieli zapatrzeni w siebie. Nie wiedział czy ma odejść, czy zostać. Chociaż nie żądał jeszcze rachunku, podano mu, aby go skłonić do ustąpienia miejsca innym. Rachunek zapłacił, ale nie miał siły oderwać się od niej.

Nakoniec garson oznajmił, że kareta czeka na panią. Ona, oddając kontramarkę Jankowi, rzekła:

— Proszę odebrać mój płaszczyk, czekać na niego będę w karecie!

Pobiegł szybko, jak strzała, potykając się o krzesła.

Noc zapadała.

W garderobie pełno było osób, musiał zatrzymać się nieco dłużej. Ona się niecierpliwiła. Nareszcie przyszedł, płaszczyk przyniósł; odbierając go, Mirta zawołała: „Siadajże pan!.. kawałeczek drogi, tylko do ulicy Wiktora Hugo, tam zastaniemy wuja!“ Młodzieniec nie miał siły oprzeć się temu, wszedł jakby go niewidzialna siła popchnęła, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni.

Teraz, kiedy znaleźli się sami we dwoje, w karecie zamkniętej, zdawało się, że nic sobie do powiedzenia nie mają; milcząc, jechali przez lasek, już pusty prawie o tej godzinie. Potem mówić zaczęli o pogodzie, o jelonkach, których w lasku pełno było, że te skrzydlate owady, lecąc na oślep, uderzają o przechodniów, że, na ziemię upadłszy, podnieść się w górę nie mogą. I jechali, jechali, a czas upływał. Kiedy niekiedy Mirta przysuwała się do niegoń, jakby pod działaniem silniejszego ruchu karety, przechylała się ku niemu. Serce biło mu gwałtownie, już się ściemniało... oni jechali jeszcze. Zdawało jej się, że go już posiadła... A on tymczasem siedział milczący i nieruchomy. Czyż on z kamienia? Czyż nie kochał nigdy?

Wobec wybuchów życia, które tuż obok niego wrzało, wobec tej kobiety, która mu się sama oddawała, on siedział zimny.

Już byli przy końcu ulicy Wiktora Hugo. Ach! minęliśmy nasz numer, zawołała: „Prędko, prędko, pomóż mi pan włożyć płaszczyk, jest chłodno“.

W chwili, kiedy, posłuszny żądaniu, płaszczyk podawał, ona objęła go za szyję i zimne jej wargi wpiły się w usta młodego malarza.

— Wysiadaj pan prędko, wuj nas widzieć nie powinien... może zaraz wyjdzie... Janku, przyjdziesz,

prawda? jutro o szóstej, bulwar Burdon przy Bastylii! Czekać cię będę!.. Ja ciebie kocham!

Wyskoczył z karety, nie wiedząc, gdzie jest i co robi, poszedł w stronę przeciwną, spostrzegłszy nareszcie, że wraca do lasku Bulońskiego, wziął dorożkę i wrócił do siebie.

Był odurzony, w głowie huczało mu jak w ulu... i powtarzał sobie tylko: „Szaleńcze! szaleńcze!“

ROZDZIAŁ XVIII.

Na spotkanie.

Noc miał bardzo przykrą. Nadaremnie usiłował zasnąć, był rozpalony, jak w gorączce, nie mógł przyciszyć żądz, które grały gwałtownie. W półśnie chorobliwym ścigały go marzenia dziwaczne, w których ją widział ciągle. Dzika, swą lubieżnością przerażająca, lecz piękna, stała przy nim, to zlekka go dotykała, to obejmowała w namiętnym uścisku. Czuł na swoich ustach jej zimne wargi i poił się rozkoszą, która mu sprawiała bolesne uczucie, jakby mu serce na kawały szarpano. Przebudzał się zmęczony, gorycz czuł w ustach, i sam siebie się wstydził, czując słabość swoją.

Po takiej nocy, wstawszy zrana, rozważał na zimno postępowanie tej kobiety, badał swój stan i wi-

dział jasno grożące niebezpieczeństwo. „Wyznaczyła spotkanie: godzina dziesiąta, bulwar Burdon... Nie, stanowczo nie pójdę!“

Potem myślał, kiedy jej dziś w Luwrze nie będzie, zatem bez obawy spotkania jej iść tam może, by zobaczyć tę, której postać wśród ohydnych marzeń nocnych widział zdaleka, jak we mgle, a tylko łzy wyraźnie błyszczały w jej oczach.

Więc pójdzie do Luwru!

Szedł ulicą Bonapartego: przeszedł przez bulwar Saint-Germain; tu zawahał się, zawrócił na prawo, przeszedł mosty i, jakby niewidzialną siłą popchnięty, śpiesznie dążył ku Bastylii. Fale krwi gorącej napływały mu do głowy, a jednocześnie czuł dreszcze, które ziębiły jak chłodny wyziew głębokiej przepaści, otworem przed nim stojącej.

Żądze rozigrane pędziły go na oślep, nie widział nic przed sobą, jakby go nocne ciemności otoczyły, wśród których ona tylko jedna błyszczała i swem zwodniczem światłem nęciła zmysły.

Otóż i bulwar Burdon. Miejsce odludne, mało uczęszczane, na znacznej przestrzeni ciągną się same składy, czasem tylko robotnik jaki tędy się przesunie. Miejsce dobrze było wybrane.

Janek czeka... czeka... a Mirty niema. Godzina oznaczona dawno minęła, a on czekał jeszcze. Mirta nie przyszła.

Na burzę się zanosi, powietrze ciężkie, wracać trzeba.

Wstąpił, wracając na śniadanie, ale jeść nie mógł. Chciał malować... niepodobna! Czuł w duszy niepokój, coś ją, jak wyrzut sumienia, dręczyło.

Zaczął rozmyślać... jak się to stało?

Ubóstwia kobietę-anioła, podziwia jej piękność talent, całą duszą pragnie być godnym jej serca... i Jej jedno spojrzenie szczęściem byłoby dla niego. I w chwili, kiedy zrobiwszy z pamięci jej portret, a ona go nie odrzuciła i mógł cieszyć się nadzieją, że może zwróci na siebie jej uwagę—w chwili takiej staje na jego drodze kobieta, której zmysłowość go oburza i przeraża, a mimo to swym czarem zwodniczym porywa go i woli j pozbawia.

Czyż to nie jest szaleństwem?..

ROZDZIAŁ XIX.

Katedra Notre-Dame.

Czując, że samotność źle działa i stan jego pogarsza, wychodzi znowu. Idzie bez celu, nie bacząc, dokąd kroki go zawiodą; ślepy traf nim kieruje i oto zbliża się do placu Notre-Dame.

Niebo smutne, ciężkie chmury zaległy je dokoła. Nagle zrywa się wicher, tumany kurzu oczy mu zasypują, ledwo oprzeć się może gwałtowności burzy.

I kiedy burza szaleje, kiedy groźne chmury w szalonym pędzie nad głową jego przeciągają, przed nim ukazuje się, jak okręt wśród wzburzonego morza, wspaniała budowa Notre-Dame, której ani wieki, ani burze zachwiać nie zdołały.

I pierwszy raz rozważa i pojmuje tę niewzruszoną potęgę arcydzieła, na które złożyła się miłość i silna wiara.

W pobożnem uwielbieniu stojąc przed tą wspaniałą świątynią, zapomina o wszystkiem, co go otacza, i wobec Piękna dusza jego unosi się ponad wszystkie nędze ziemskie, dręczące ludzi, i znajduje uzdrowienie.

Ogarnął go wstyd, gdy poczuł szkaradę złego, któremu tak łatwo zapanować nad sobą pozwolił. Pytał sam siebie, po co tu przyszedł, co go tu sprowadziło i przyznać przed sobą musiał, że go w tę stronę ciągnęła nie wspaniała katedra, lecz Morga, bo oto za katedrą wznosi się ta okropna świątynia gwałtownej śmierci, a tam w tej chwili jest Mirta, która zmysłami jego zawładnęła. On jej tam szukał i do niej dążył.

Dlaczegóż więc nie idzie, dlaczego tu stoi? Kilka kroków zaledwie dzieli go od Mirty, ona go tam oczekuje; niech idzie oddać się w jej uściski namiętne!

Nie poszedł. Przed katedrą jeszcze stoi i podziwia to arcydzieło sztuki chrześciańskiej i mimowoli z duszy jego wyrwała się głośna prośba błagalna: „O Święta Maryo, wesprzyj mnie i broń od złego“.

Burza, jak dobroczynny powiew miłosierdzia Bożego, popchnęła go ku tej wspaniałej świątyni, ku tej bezpiecznej przystani, której strzegą zewnątrz postaci świętych Pańskich i dziewic świętych, co, mimo pokus i zepsucia wieków swoich, dusze od zmazy wolne zachować zdołały i tak niepokalanie czyste pozostały, jak niepokalanej białości jest ten marmur, który je przedstawia.

Wszedł do kościoła. Idzie zwolna wśród lasu kolumn wspaniałych, chłód i mrok, zalegający świątynię, działa kojąco. Uroczysta cisza panuje, tylko z chóru szmer niewyraźnych głosów dochodzi: naraz odzywają się poważne akordy organów, a z niemi miesza się śpiew czysty i ta boska melodya duszę młodego artysty w zachwycie porywa i unosi ku niebu, a łzy gorące spływają mu po twarzy. Śpiew ustał. Słychać tylko przyciszone głosy, odmawiające psalmy.

A gdzieś zdaleka, zdaleka napływają wspomnienia; Janek widzi siebie znów dzieckiem w swej bluzce niebieskiej z białym kołnierzykiem, widzi swój wiejski kościołek i zdaje mu się, że słyszy drżący dyszkant starego proboszcza. I słońce z poza drzew, kościół otaczających, przekrada swe srebrzyste promienie i oświetla unoszące się i igrające drobne atomy pyłu; ptaszęta pieśni swe mieszają z przeciągłym śpiewem kościelnym i czuje zapach wosku i niemiłą woń bukszpanu z palm święconych w Kwietnią Niedzielę.

A po skończonem nabożeństwie gromadka dzieci, na naukę katechizmu zebrana, między niemi on z chłopców najmłodszy jest obok najmłodszej z dziewczynek... obok tej, którą zapomnieć trzeba było, aby po niej nie płakać tak bardzo.

Ten śliczny aniołek z buzią różową i oczkami błyszczącemi, jak dwie czarne gwiazdki, co tak wcześnie do nieba uleciał... to Leonka!

Wspomniał także czułe pieszczoty matki i swój mały pokoik, to gniazdko, tkliwą miłością ogrzane w którem mu tak dobrze było. I płakał.

W kościele słychać ciągle szept cichych modłów, którym wtórują przyciszone tony organów, a z duszy Janka płynie modlitwa czysta.

ROZDZIAŁ XX.

List do Savaretta.

„Drogi mój Mistrzu.

List ten piszę pod wpływem niemiłego wrażenia. Dowiedziałem się, że cudzoziemka, która mnie oczarowała i chwilowo zmysły moje opanowała, nagle uciekła z Paryża.

Zaplątana jest w jakąś tajemniczą sprawę i podejrzana o szpiegostwo. Ztąd zapewne pochodziły jej stosunki z wysoko położonemi figurami.

Wyjechała ze starcem, który za jej wuja uchodził, lecz w rzeczywistości była jego metresą. Powierzchowność tego człowieka budziła poszanowanie i zaufanie.

Ja szczęśliwie uniknąłem wielkiej nieprzyjemności, jaka mnie spotkać mogła.

Przed paru dniami przypadkiem spotkałem ich w pawilonie Armenonville, gdzie widziano nas razem. Wczoraj rano policya była u mnie. Ja właśnie wtenczas z domu wyszedłem. Dowiedziawszy

się o tem, co zaszło, pobiegłem do pana Deneversa, który z łatwością przekonał komisarza o mojej niewinności. Ja jednak w głębi duszy czuję się winnym o tyle, że pozwoliłem tej kobiecie tak sobą zawładnąć. Jakkolwiek już przedtem z jej wpływu się otrząsnąłem i przestała być dla mnie groźną, jednak rad jestem, że jej tu już niema.

Jan Gerard.“

ROZDZIAŁ XXI.

Marcelina.

Mój kochany Janku.

Twoje ostatnie listy, a więcej jeszcze długie milczenie były przyczyną mojego zaniepokojenia o ciebie.

Twój stan moralny budził wielkie obawy; kryzys fatalne zdawało się nieniknione, ja jednak ufałem jeszcze twej dobrej i szlachetnej naturze.

Przypuszczam, że sławione przez ciebie zalety tej, którą Botticellą zowiesz, są przesadzone, w każdym jednak razie jest ona dla ciebie wcieleniem ideału dobra i piękna, jaki w twej duszy wypiastowałeś, ku takiemu zatem ideałowi skierowane być winny wszystkie myśli i dążenia twoje, jako człowieka i artysty. Tamta przeciwnie, oddziaływała ujemnie;

czarując zmysły, umysł twój opanowala i siłę woli ci odbiera; zgubić cię mogła i talent twój zmarnować. Tej drugiej nie obawiam się dla ciebie wcale, owszem na jej dobry wpływ liczę wiele, ale radzę ci, zachowuj się względem niej z jaknajwiększą ostrożnością, działając gwaltownie, zaszkodzić sobie możesz. I ty i ona oboje bardzo młodzi jesteście. Kochaj ją zdaleka; twoja miłość czysta będzie dla ciebie tarczą, która cię ochroni od złego, z jakiem spotkać się możesz.

Przyszłość Bogu tylko jest wiadoma. Jeżeli ona ci jest przeznaczona, okoliczności same was zbliżą i połączą.

Opatrzność łaskawa dla ciebie, snać jako przestrogę u progu życia stojącemu, postawić chciała na twej drodze te dwie kobiety, tak różnej będące natury: jedna jako ideał piękności, a druga jako zjawisko zgubne, co jak błędny ognik, fałszywym blaskiem nęci i na bezdroża ciągnie. Jest to zło, które szkodę przynosi i obyczajom i sztukom współczesnym. O! szczęśliwy! stokroć szczęśliwy młodzieńcze! Uniknąłeś niebezpieczeństwa, które ci groziło, a którego sam szukałeś.

Los i w tem okazał się łaskawy tak, jak od kolebki łaskawym był zawsze dla ciebie. Tobie wszystko się uśmiechało. W domu rodziców był dostatek, nie zaznałeś więc w niczem braku. Ojciec, chociaż inne względem ciebie miał zamiary, nie sprzeciwiał się jednak i pozwolił ci iść za popędem twych skłonności. Na naukę dla ciebie nie szczędził, odbyłeś studya uniwersyteckie. Teraz w Paryżu na niczem ci nie zbywa: mieszkanie masz wygodne, pracownię dobrą i obszerną. W sztuce od początku miałeś rady

takie, które nie krępując w niczem twojej indywidualności, uchroniły cię od błędów, będących plagą, długo potem dręczącą; bo fałszywe zasady w początkach nauki zaszczepione, nie łatwo później wykorzenić się dają i nieraz całe życie z niemi walczyć trzeba.

O jutro się nie troszczysz, na chleb pracować nie potrzebujesz, możesz więc spokojnie robić studya, malować i marzyć o wielkich dziełach, które z czasem wykonać możesz.

Szczęśliwy młodzieńcze! a ja chciałbym ci powiedzieć: Nieszczęśliwy! ponieważ nie umiesz ocenić dobrodziejstw, jakiemi cię los obsypał tak hojnie!

Staremu przyjacielowi, który cię jak własne ukochał dziecię, niech wolno będzie powiedzieć ci szczerze, iż ty nie masz prawa na los się uskarżać, trzeba być nieprzyjacielem siebie samego, żeby w twojem będąc położeniu, tworzyć sobie przywidzenia i użalać się na nie. Przypatrz się innym! wniknij w ich życie! Poznaj choćby tylko historyę mojego życia:

Wiesz już, że jestem synem prostego pasterza, urodziłem się w chacie mało co od stajni lepszej, ojciec mało przybywał w domu, rzadko widzieć go mogłem; wiecznie był w polu, w swej budzie pasterskiej. A piękna to była postać! Był piękny jak Homerowski pasterz, a jaki przytem pobożny! Ile razy wieczerzę mu przyniosłem, zawsze przy rozstaniu krzyż palcem na czole mi znaczył, mówiąc: „Miłuj Boga, kochaj matkę i dobrze siostrzyczki doglądaj.“ Moim to było obowiązkiem pilnować jej i zabawiać ją całemi dniami, gdyż matka na zarobek wychodziła w pole lub na fermę. A! śliczna była ta nasza Anetka! Mia-

łem wtenczas lat dziesięć, kiedy straszna wybuchła cholera spustoszenie szerzyła w okolicy. Cała moja rodzina padła jej ofiarą, ja tylko jeden ocalałem. Sam zostałem. W chwili, kiedy to piszę, łzy cisną się do oczu.

Sierotę wzięto mnie na fermę do pasania krów. W polu, pilnując bydła, robiłem sobie piszczałki z gałązek wierzbowych, nożykiem wyrabiałem na korze rozmaite desenie własnego pomysłu. Później zacząłem na białych kamykach wyrzynać zwierzęta i na deskach parkanu, farbą z listków skabiozy, malowałem figurki i ornamenta.

Przy takiem to zajęciu zobaczył mnie pan R. zwrócił na mnie uwagę, podobała mu się tłusta, rumiana twarz dziecka z jasnemi jak len włosami i losem się moim zajął.

Wiesz, że jego kosztem odbyłem naukę najprzód w szkółce początkowej, a potem w prywatnym pensyonacie. Zacny pan R. wyrobił mi później stypendyum, i z tem udałem się do Paryża.

Przybyłem tu pełen zapału do pracy. Wstąpiłem do szkoły Drollinga, gdzie poznałem twojego teraźniejszego nauczyciela, a mojego przyjaciela Denewersa. Ciężką walką i wytrwałą pracą osiągnąłem nareszcie cel pożądany.

Moje środki materyalne były zbyt małe, wystarczyć zaledwie mogły na opłatę mieszkania i na zaspokojenie koniecznych potrzeb życia:

Ponieważ stypendyum na inne potrzeby nie wystarczało, byłem zmuszony pracować dla zarobku. Sprzedawałem po kilka franków moje akwarele, przyjmowałem wstrętne dla mnie zamówienia izby sądowej i malowałem dla niej trupy, wystawiane

w Mordze, robiłem portrety, ale zawsze najbardziej pociągał mnie pejzaż.

Zebrawszy trochę oszczędzonych pieniędzy, wyjechałem na wieś; kilka studyów, tam wykonanych, sprzedałem, tym sposobem położenie moje znacznie się polepszyło. Pracowałem bez wytchnienia, lecz obrazy, które w salonach wystawiałem, nie zwróciły na siebie uwagi. Nareszcie w 1860 r. odniosłem tryumf prawdziwy; moje stado owiec, przez wieś idące, sławę mi zjednało.

O! wtenczas szczęście śmiało się do mnie. Po otworzeniu wystawy wszystkie ręce ku mnie się przyjaźnie wyciągały. Koledzy moi, sławę już wówczas mający, przedstawiali mnie damom, które mi powinszowania składały. Takim sposobem poznałem wtenczas panią Herwin i jej córkę Marcelinę: wyraz nadzwyczajnej słodyczy na jej twarzy rozlanej, silne wywarł na mnie wrażenie. Znasz jej portret, który mimo wielkiego podobieństwa, nie przedstawia jednak tego wdzięku, jaki ją zdobił.

W dwa dni potem dostałem list od pana adwokata Herwin z zapytaniem o cenę obrazu, który chciał nabyć. A ponieważ na wystawie były także dwa portrety kobiet, pastelami przeze mnie wykonane, pan Herwin kupił mój obraz i zamówił portret swej córki, którą ubóstwiał.

Panna wykształcona, skromna i piękna, znakomitą przy tem była pianistką. Głos miała piękny i czysty, jej śpiew do duszy przemawiał i w mem sercu najwznioślejsze uczucia poruszał. Pokochałem ją szalenie i wzajemność jej zyskałem. Węzłem małżeńskim połączeni, nad wszelki wyraz byliśmy szczęśliwi... Jeżeli kiedyś z Botticellą się ożenisz i z nią

w podróż poślubną do Włoch się udasz, zakosztujesz i ty bez wątpienia tych niebiańskich rozkoszy, wśród których żyliśmy tam we dwoje.

Po dwóch latach małżeńskiego pożycia, nowa czekała nas radość, żyliśmy nadzieją nowego szczęścia, tworząc wspólnie tysiące najpiękniejszych projektów. I całe to szczęście odrazu straciłem. Umarła, wydawszy na świat dzieciątko; synek poszedł wkrótce za nią. Rozpacz moja granic nie miała, zdawało mi się, że tego ciosu nie przeżyję... Od ludzi się odsunąłem, nikogo widzieć nie chciałem. Całą jesień i zimę ze strasznym bólem w duszy samotnie spędziłem na wsi, gdzie był grób Marceliny. Malować zupełnie przestałem. Nic robić nie mogłem.

Jedyną pociechą dla serca zbolałego były wspomnienia chwil szczęśliwych, z nią razem spędzonych wspomnienia te zapisywałem starannie.

W nieśmiertelność duszy wiary nie miałem, lecz od chwili, kiedy Marcelina ukazała mi się we śnie, wierzę, iż kiedyś połączymy się znowu. To przekonanie siły me pokrzepiło; w muzyce rozrywki szukać zacząłem; grałem melodye i śpiewałem pieśni, które grała i śpiewała Marcelina.

Dawniej z każdą wiosną nowe moje prace w Salonie wystawiałem, teraz wiosna zielenią i kwieciem wszystko dokoła już przystroiła, a ja o Salonie nie pamyślałem wcale, nic nie przygotowałem. Zmusiłem się nareszcie do pracy i pomału, pomału sztuka dawny swój urok dla mnie odzyskiwać zaczęła. wkrótce oddałem się jej zupełnie. I znowu po dłuższej przerwie imię moje znowu głośnem się stało, odbierałem częste objawy uznania, zbyt może wygórowane. Nie po-

wiem, żeby mi to obojętnem być miało; lecz pragnąłem żyć zdala od świata, w ciszy mojego ustronia.

Nieszczęścia publiczne zapomnieć kazały o nieszczęściu własnem.

Kiedy wybuchła ta wojna nieszczęsna, ty miałeś wówczas dwa lata, a ja miałem czterdzieści pięć; nie byłem obowiązany do służby czynnej, i należałem do stałej gwardyi narodowej. Nieszczęścia jedne za drugiemi na kraj spadały. O! ja nie należałem do tych co krzyczeli „Na Berlin! Na Berlin!" Ja tej wojnie byłem przeciwny, przewidywałem ciężką odpowiedzialność tych, co ją wypowiedzieli, i nad tem bolałem bardzo. Później dopiero wiadomem się stało, że kanclerz niemiecki, sfałszowawszy depeszę, pokój uczynił rzeczą niemożliwą.

Dowiedziawszy się o klęskach naszych, czułem, że mimo moich czterdziestu pięciu lat, ojczyznie służyć powinienem i zaciągnąłem się do armii czynnej.

Mianowany zostałem kapitanem.

Byłem pod dowództwem Faidherbe'a w bitwie pod Saint-Quentin. Wielu towarzyszów padło obok mnie. Na szczęście odwilż w pomoc nam przyszła, większa część granatów nieprzyjacielskich, zarywszy się w rozmiękłą ziemię, nie wybuchały; to nas ocaliło; inaczej bylibyśmy tam wszyscy śmierć znaleźli.

Zapomnieć dotąd nie mogę okropnego wrażenia, jakiego, przez wieś Fayet przechodząc, doznałem na widok rozwalonej stodoły, napełnionej trupami. Ten obraz nigdy z pamięci mi nie wyjdzie.

O! cóż to była za straszna wojna!

Kończę już list mój, zbyt może długi. Pisząc go, chciałem ci dać dowód mojego dla ciebie przywiązania. Ty mi dziś zastępujesz syna, którego straci-

łem; ile razy moja rada potrzebną ci być może, żądaj jej śmiało i szczerze.

Spodziewam się, że lekcya, jaką dostałeś, na korzyść ci posłuży i ani sofizmatom, ani pokusom uwieść się już nie dasz.

Zresztą idź tylko za głosem sumienia, a z drogi prawej nie zejdziesz.

Jeszcze raz ci powtarzam, nie poddawaj się urojeniom, nie dopatruj nieszczęścia tam, gdzie go niema; nie skarż się, jak dziecko, bądźże przecie mężczyzną!...

Savarette".

ROZDZIAŁ XXII.

W Marlotte.

Z rozrzewnieniem czytał Janek list Savaretta, opis jego życia tak szczery i prosty do łez go poruszył. O! — zawołał, byłbym najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym zawieść miał zaufanie, jakie ten zacny człowiek we mnie pokłada! Odtąd uczynię wszystko, co tylko w mojej jest mocy, aby się stać godnym jego przyjaźni.

W serdecznych słowach dziękował swemu ukochanemu opiekunowi za życzliwość i na list jego obszerną posłał odpowiedź.

Przypomniawszy sobie, że Savarette zalecał mu

dawniej wyjazd do Fontainebleau, postanowił pójść za jego radą; przygotowania do drogi nie trwały długo, zabrał płótna, farby, stalugę podróżną i zawieźć się kazał na dworzec Lyoński.

W Fontainebleau zatrzymał się dla zwiedzenia wspaniałego pałacu, a jakkolwiek znał go z licznych fotografij, podziwiał jednak jego piękność.

Ztamtąd udał się do Marlotte.

Przybył tu wieczorem, zajął w oberży mały pokoik i przebrawszy się z drogi, wyszedł na kolacyę. Z dość obszernej altany, obrośniętej winem, dochodziły zmięszane głosy i wesołe śmiechy. Janek wszedł do altany, kilku młodych ludzi w towarzystwie kobiet siedziało przy kolacyi w gęstym obłoku dymu z papierosów. Kazał sobie podać kolacyę i usiadł przy jednym z młodych ludzi, któremu się przedstawił, jako uczeń Deneversa, ten zaznajomił go z resztą towarzystwa, które przybysza przyjęło uprzejmie.

Rozmowa nie ustawała, a jej nastrój był naprzemian to wesoły, to liryczny, zdania się ścierały i snuły się koncepta. Janek nie brał w niej udziału, siedząc wsparty na stole, przysłuchiwał się tylko, a oczy jego mimowoli zwracały się na piękny, regularny profil sąsiada, który mu niewyraźnie kogoś przypominał, zdawało mu się, że go kiedyś już widział. Z ogólnej rozmowy dowiedział się, że ten uprzejmy i wielce sympatyczny młodzieniec jest poetą.

Po kolacyi towarzystwo się rozeszło, pozostał tylko poeta, który przy pożegnaniu oznajmił Jankowi szczerą swoją sympatyą; ten nawzajem zapewnił, iż rad jest niezmiernie z przypadku, który mu go poznać pozwolił.

Ułożyli na dzień następny wspólną do lasu

przechadzkę i na spoczynek się udali. Dzień od rana zapowiadał się gorący; młodzi towarzysze byli akuratni i według umowy o godzinie ósmej już wyruszyli. Wszedłszy w głąb lasu, nasz malarz, uderzony pięknością krajobrazu, jaki się oczom jego przedstawił, rozłożył tekę i zaczął rysować; obok niego na miękkim mchu pościeli spoczywa jego towarzysz, Andrzej Deberge. Przed nimi ściele się zwierciadło ciemnych wód jeziora, dokoła którego rozłożyły się płaskie skały, a nad niemi wznoszą się odwieczne dęby, których cienie na przestworzu wody znaczą się czarnymi plamami; promienie słońca, przedzierając się przez gęstwinę gałęzi, rzucają jasne blaski i tworzą efekta cudne.

Andrzej, leżąc, od czasu do czasu rzuca ciekawem okiem na rysunek towarzysza; rozmowa toczy się leniwie o rzeczach obojętnych, lecz obaj młodzieńcy, czując wzajemny do siebie pociąg i wzrastającą sympatyę, pragnęli znaleźć przedmiot rozmowy, któryby ich zbliżył, rozgrzał i wyrazić im pozwolił swoje myśli i pojęcia. Przedmiot taki znalazł się wkrótce; sztuka przedstawiła tło ,na którem obaj mogli szeroko rozwijać swoje poglądy i idee.

Po południu udali się w góry, słońce ku zachodowi pochylać się zaczęło, na ciemne mchy rzucało fioletowe cienie, a paprocie tu i owdzie purpurą zapalało. Wdali, wśród ogromnej przestrzeni zarośli, widać tysiące skał drzemiących, jak zaklęte stada przedpotopowych olbrzymów.

Podziwiając tę dziką i wspaniałą naturę, skierowali rozmowę na poezyę i malarstwo. Przedmiot to był dla nich niewyczerpany; rozgrzewały się dusze,

myśli potokiem płynęły, a węzeł przyjaźni, nieznacznie zadzierzgnięty, zacieśniał się coraz silniej.

Andrzej na żądanie towarzysza deklamował swoje utwory poetyckie, a mówił pięknie i z uczuciem; Janek gorące oddawał mu pochwały, przy czem zdradził się, że on także pisze wiersze.

— W poezyi, mówił: wyśpiewać próbuję nadmiar liryzmu, którego pędzlem nietylko oddać dostatecznie na obrazie nie można, ale który szkodzi obrazowi i osłabia go, zaprawiając nieuchwytnym sentymentalizmem.

Andrzej dziwił się temu, gdyż, jego zdaniem, malarze pospolicie nie zajmują się poezyę, nawet i zasad jej nie znają. Janek dowodził, że jakkolwiek zbyt mało jej się oddają, lecz prawa i zasady poezyi obce im być nie mogą, ponieważ nauka malarstwa, podając artyście zasady sztuki plastycznej, wykazuje mu zarazem analogię, jaka między poezyą, a malarstwem istnieje:

Rozmiar, rytm, proporcye, cieniowanie, stopniowanie, harmonia i rozmaitość są to cechy równie malarstwu, jak poezyi właściwe. Tu i tam żyje myśl i drga uczucie, a ich formy i kształty, w poezyi malują wyrazy, a w malarstwie oddaje rysunek. Czem w poezyi wyrazy, tem są barwy w malarstwie; jak przez odpowiednie połączenie wyrazów podnosi się ich siłę, a niekiedy zmienia nawet ich właściwe znaczenie, podobnie przez zestawienie odpowiednich barw wywołuje się wrażenia i efekta różne.

Tak rozmawiając, weszli na górę, zkąd rozległy roztaczał się widok.

— Cóż to za piękny obraz!—zawołał jeden.—To prawdziwy poemat!—zawołał drugi:

I wrócili znów do dalszych porównań poezyi i malarstwa.

Andrzej zrobił uwagę, że jak wrażenia duszy mogą być farbami wyrażone przez stosowny ruch i wyraz postaci przedstawionych w obrazie; tak znów wrażenia wzroku maluje poezya za pomocą wyrazów, które dają złudzenie barw.

Przeszli potem do uwag nad nową szkołą, której zwolennicy, goniąc za czemś dotąd nieznanem, wyszukują przedmiotów dziwacznych i silą się na oddanie efektów nienaturalnych.

Następnie Jan zwrócił się do poety z zapytaniem, czy zastanawiał się nad tem, zkąd pochodzi natchnienie. Na co Andrzej odpowiedział:

— Natchnienie nie jest to chwilowe wzruszenie, bezpośrednio działające, jest to raczej przypomnienie doznanego wrażenia, które odbija się w duszy z siłą i prawdą. Wrażenie to objawia się w postaci wizyi, wobecniego zapomina się o wszystkiem, nikną wszystkie uczucia; radość, smutek, miłość, nienawiść, wszystko zlewa się w jedno tylko potężne uczucie—w rozkosz tworzenia. I dusza rozgrzewa się i rozjaśnia, myśl promienieje, przybiera odpowiednie kształty i wciela się w formę sobie właściwą.

Janek z przyjemnością słuchał dowodzenia swojego towarzysza, który na zapytanie, w jaki sposób postępuje przy tworzeniu wierszy, tak mówił dalej:

— Alboż ja sam wiem?... to określić trudno, dzieje się to niewidzialnie; nie wiadomo zkąd, nagle rodzi się myśl. Ale myśl niejasna i tak nieuchwytna, że jej wyrazić w słowach niepodobna; więc z żalem od niej się odwracasz i porzucić ją chcesz...

Teraz ona bierze cię w swoje posiadanie i tak cię niepokoi, tak wstrząsa tobą, że nareszcie poczułeś, iż to jest płód, w mózgu twym poczęty. Wtenczas wszystkie władze twej duszy kierujesz na ten zarodek myśli, na to ziarnko kiełkujące i pielęgnujesz je, by nie zamarło, ono tymczasem nieznacznie się rozwija, a z niego wyrasta myśl żywa i jak kwiat rozkwita, a gdy dojrzeje, stroi się w formy i sama z pod pióra płynie.

Na zakończenie porównań tych sztuk obu, Janek zawołał:

— Nie jestże cudowną rzeczą ta twórcza praca poety, która całą istotę jego pochłania, a jest przytem tak lekka, że jej prawie nie czuje? gdy tymczasem malarz nad jednem płótnem miesiące całe w mozolnej pracy trawić musi! Poeta jest królem natury, panem swej myśli; on panem jest świata, który sam sobie stworzył. A czy śpiewa, czy płacze, zawsze doznaje tej samej rozkoszy tworzenia. Ach! jakże ja bym chciał być poetą!

— Ach! jakżebym ja chciał być malarzem!—powiedział Andrzej.—Alboż malarzowi nie służą te same co poecie prawa i przywileje? a jeszcze ma tę wyższość, że utwory jego mogą być zupełniejsze i głębsze.

Ztąd wniosek ostateczny był taki, że i poeta i malarz znajdują w swej sztuce rozkosz, lecz mają też i zwątpienia przykre; że sztuka jest wielka, ale człowiek—słaby.

O zmierzchu do wsi wracali, dym z kominów ponad chatami się rozciągał, a na niebie ostatnie blaski wieczorne czerwoną łuną się paliły.

Wesoło było przy kolacyi, dwaj tylko towarzysze, Jan i Andrzej, ogólnej nie dzielili wesołości; mil-

cząc siedzieli i obojętnie słuchali konceptów i potwornych paradoksów, jakiemi zebrana młodzież pod wpływem dobrego humoru rzucała.

Nasi dwaj młodzieńcy, wzajemną zbliżeni sympatyą, rozstać się wkrótce musieli, Janek został wezwany do Paryża, a Andrzej do Normandyi wracał.

ROZDZIAŁ XXIII.

W loży.

Szkoła sztuk pięknych powołała swych uczniów na wstępną próbę, która ma decydować, kto do konkursu stanąć może, jako kandydat, współubiegający się o nagrodę Rzymską.

Janek stawił się na wezwanie. Wkrótce po powrocie do Paryża dostał list od Savarette'a, w którym ten wyraża zadowolenie, że jego rada, Jankowi udzielona, równie pomyślnym skutkiem została uwieńczona, ponieważ wyjazd do Fontainebleau i pobyt w Marlotte tak dobrze podziałał na jego stan moralny, a przytem dał mu może sposobność pozyskania nieocenionego skarbu, jakim jest w życiu przyjaciel prawdziwy.

W kilka dni potem Janek napisał do Savarette'a: „Spieszę z przesłaniem dobrej nowiny, drogi mój mistrzu, stało się to, o czem marzyć nie śmiałem. Je-

stem przyjęty do loży nr. 2. Łatwo pojąć radość moją. Jest to dla mnie wielkie szczęście ze względu na rodziców moich, na ciebie, mistrzu kochany i ze względu na .. Botticellę.. Może przecież kiedyś będę jej godnym!...

Andrzej jest u swego wuja w Normandyi. Bardzo mi go brak!...“

Tak więc Janek na trzy miesiące wszedł do loży. Wszedł pełen zapału... O! gdyby mógł wyjść zwycięsko! Na ten raz nie śmie mieć nadziei, ale na przyszły rok!.. Tysiące snuł projektów, marzył o sławie.

Szkic do obrazu z początku szedł bardzo dobrze. Później znalazły się trudności nieuniknione... potykał się o nie... walczył z niemi, miał chwile zniechęcenia, obawy i nadziei, pracował gorączkowo.

ROZDZIAŁ XXIV.

Spojrzenie.

Przedmiotem obrazu konkursowego jest Chrzest Chrystusa; rzecz trudna, lecz Janek nie traci odwagi, pracuje gorliwie.

Malować ma Jordan, więc przypomina sobie jedno ze swoich studyów, które zrobił w Montigny, jest to motyw doskonale się do jego obrazu nadający;

przez wieś przepływa rzeka, a domy aż do samej prawie wody dochodzą. On domy zastąpił szaremi skałami, jakie widział w Marlotte i z tem samem oświetleniem, które go tam w zachwyt wprawiło.

Z kompozycyi swej jest zadowolony, ale Chrystus!... nie udaje się, sto razy go już malował i zamazywał i znów malował... zawsze było niedobrze.

Wczoraj, daremną zniechęcony pracą, wyszedł z loży; w nadziei, że wśród dzieł znakomitych mistrzów znajdzie dla siebie wzory pożądane, udał się do Luwru. O! dzień wczorajszy epokę w jego życiu stanowić będzie.

Oglądał wszystkie postaci Chrystusa, lecz żadna z nich zadowolić go nie mogła. Chrystus wszędzie tam był tylko zwykłym człowiekiem Najdłużej zatrzymał się przed obrazem Rembrandta „Uczniowie do Emaus idący", gdyż tam Chrystus najwięcej ma wyrazu Boskości.

Potem poszedł popatrzeć choć zdaleka na Botticellę. Podziwiał jej postawę, jej ruchy, pełne wdzięku, jej spokój; nareszcie nie mógł się powstrzymać, przysunął się do jej stalugi, by zobaczyć zbliska tę śliczną istotę.

Nie! on swemu szczęściu uwierzyć nie może, a przecież jest tego pewien... Spojrzała na niego! W tem głębokiem spojrzeniu ile było słodyczy i czułości, on tego wyrazić nie potrafi... Upojenie rozkoszne go ogarnęło, dreszcz wstrząsnął całą jego istotą. O! to spojrzenie nie było zwyczajnem spojrzeniem; to była gwiazda szczęścia, którą mu Botticella zesłała, to była jego gwiazda!

Pełen radości stał jeszcze, czekał... lecz na

tem się skończyło; nie spojrzała więcej, ze zwykłym sobie spokojem pracowała dalej.

Wybiegł z muzeum, wrócił spiesznie do swej loży, pochwycił paletę, w godzinę przerobił głowę Chrystusa, i poprawiać jej już nie będzie.

ROZDZIAŁ XXV.

Konkurs.

Obraz skończony! Teraz niech się, co chce, dzieje, zrobił co mógł, reszta od niego nie zależy.

Obrazy już wystawione, sąd odbędzie się w sobotę.

Te ostatnie dni pracy zmęczyły go bardzo, czuje się z sił wyczerpanym. I nie mogło być inaczej; pracował bez wytchnienia podczas nieznośnych upałów, siedząc w ciasnej loży, bez powietrza, pod wpływem nadziei i zwątpienia naprzemian duszę poruszających i mając ciągle przed oczyma to samo płótno, które raz widział w świetle ciepłem i jasnem, drugi raz w szarych refleksach pochmurnego nieba. Dodajmy do tego denerwującą wewnętrzną walkę, jaką artysta staczać musi z niemocą własną, która mu nie pozwala wyrazić na płótnie tego, co czuje.

Pewnego dnia, niezadowolony z tego, co zrobił, wiele szczegółów w obrazie przemalował, poodmie-

niał, popoprawiał i zdawało mu się, że dziełu swemu dodał siły, piękności i blasku. Niestety! nazajutrz przekonał się, że popsuł swój obraz zupełnie; był w rozpaczy, ręce mu opadają, nie wie, co począć, za parę dni termin konkursu.

Nic innego mu nie pozostawało, tylko zeskrobać i zapomocą kwasów zmyć wczorajsze poprawki. Na szczęście farby pod spodem były już suche, i bez wielkiej trudności przywrócił obraz do dawnego stanu. Teraz widzi, że nie jest zły, nawet dość z niego jest zadowolony. I mówił sobie: „Głowa Chrystusa stanowczo przypomina tę, która jest przedmiotem mego uwielbienia.“

Jak tylko swój obraz ukończył, ani chwili w Paryżu pozostać nie chciał. Wyjechał natychmiast do Barbizon; pociągała go tam obecność Andrzeja, który po powrocie z Normandyi czas jakiś wśród pięknej natury i ciszy leśnej przepędzić pragnął. Tam postanowił Janek czekać spokojnie na wyrok, jaki zapadnie ostatecznie w sobotę.

W chwili, kiedy wychodził ze szkoły, spotkał Denevers'a, ten oznajmił mu, że ma wiadomości od Savarette'a, który ubolewa nad tem, iż mu obecny stan jego zdrowia na konkurs przybyć nie pozwala.

Janek żadnych sobie na ten raz nie robi nadziei. Pan Denevers, jego profesor, pochwalił go, to już dostateczną dla niego jest za pracę nagrodą. „Należy ci się nagroda, mówił Denevers, ale nie licz na nią; jesteś jednym z najmłodszych. Wartel, chociaż ma № 3, otrzyma zapewne pierwszą nagrodę, obraz jego jest niezły, a tegoroczny konkurs jest dla niego ostatnim. Być może, że tobie dostanie się druga.“

Wszyscy, do konkursu należący, byli mniej lub więcej niespokojni, niepewni powodzenia, z wyjątkiem № 5, ten głośno objawiał swoją pewność i zadowolenie. A № 5, to Garniton. On drugą nagrodę otrzymał wtenczas, kiedy jeszcze malował tak, jak wszyscy. Stanąwszy do próby, nie zmienił zwyczajnego sposobu malowania, aby zapewnić sobie przyjęcie do konkursu, ale „z chwilą, kiedy znalazłem się w mej loży—mówił—puściłem wodze mojej fantazyi, nie krępuję się niczem, z całą maluję swobodą, i mam nadzieję, że, nowemi idąc drogami, stworzę dzieło, które absolutnie swą oryginalnością cały Instytut zadziwi."

Ten dzielny i wielce niegdyś obiecujący młodzieniec uległ, jak wiemy, wpływom skandynawskiego kolegi i przyjął jego dziwaczne i szkodliwe w sztuce teorye.

Współtowarzysze konkursu, wprzód nim swoje loże opuścili, jedni drugim obrazy swoje pokazali. Konkurs przedstawia się dobrze. Janek przypuszcza, że główna nagroda Wartlowi zostanie przyznana. Wprawdzie Chrystusa postać jest chybiona, ale za to są tam figury nieposledniej piękności.

Co do Garnitona, ten przeszedł wszystko, cokolwiek w tym kierunku dotąd robiono. U niego ziemia, drzewa, wody i chmury spadają zewsząd, jak wióry stolarskie, niema tam ani jednej figury naturalnie przedstawionej, bo według niego malować to, co w naturze się spostrzega, jest rzeczą przestarzałą. Obraz jego to same krzyczące dysonanse, to mozaika, złożona z jasnych świateł bez ruchu i z jednostajnych niewyraźnych tonów.

Janek rad, że znowu jest razem z Andrzejem,

o konkursie nie myśli. I tu, podobnie jak niegdyś w Marlotte, do obiadu zasiedli w cienistej altanie; przy stole towarzyszyło im kilku malarzy, rozmowa była zajmująca i wesoła. Jednemu z nich z poczty oddano dziennik, przeczytał i podał go Jankowi, mówiąc: „o konkursie piszą.“

Dziennik, sztuce poświęcony, mający tytuł „l'Attirance“, na wstępie ostro gromi Szkołę Sztuk Pięknych, której kretynizm wytwarza tych cudownych idealistów, co, hołdując zastarzałym na sztukę poglądom, nie potrafią doścignąć ani zrozumieć nowych ideałów piękna.

Potem winszuje Garnitonowi i podnosi wysoko jego zasługę, że wyzwolił się z pod wpływu starej szkoły.

„Co znaczy ta jego przeszłoroczna konkursowa druga nagroda wobec tego, czego dokonał dziś, depcząc i druzgocząc to strupieszałe wczoraj, co polot ducha tamuje, co młodym orłom skrzydła podcina?.. Pan Garniton tym ślepym zatwardziałym przedstawicielom starej szkoły potęgą swego geniuszu otwiera nowe drogi i wskazuje cel wielki, płomienny, barwny, drgający życiem niezawisłych atomów, ku któremu w szale uniesienia dusza artysty wzlatuje!.. „L'Attirance“ dalej oburza się na śmiech, jakim ci idyoci parskają przed tem znakomitem dziełem i dodaje: „Ci głupcy, spoliczkowania warci, gromadzą się przed obrazem Jana Gerarda, którego Chrystus jest w najgorszym gatunku ludzką postacią, mającą ciało i kości, bez uwzględnienia jego przemienienia cudownego, jego śmiertelnych kurczów skonania i zwycięskiego zmartwychpowstania!“

Janek, przepisawszy ten piękny ustęp, w niezro-

zumiałym żargonie wyrażony, oddał pożyczony dziennik uprzejmemu koledze i wszyscy spać poszli.

ROZDZIAŁ XXVI.

Jasna gwiazda zabłysła na drodze Janka: marzenia jego może zastąpi nadzieja!

Jakże wdzięczny jest Savarette'owi, że mu dla chorej duszy lekarstwa szukać kazał w lasach i okolicy Fontainebleau. Gdyby nie ta myśl szczęśliwa, nie byłby nigdy poznał Andrzeja, tego ukochanego poety, z sercem gorącem i umysłem szlachetnym. Serdeczny stosunek, braterska niemal zażyłość łączyła tych dwóch ludzi. Teraz nie wystarczała im rozmowa obojętna, obaj czuli potrzebę otworzenia serca i wylania swych uczuć. Janek gorąco pragnął mówić z przyjacielem o tej, która go tak żywo zajmowała, lecz słowa na ustach mu zamierały. Ze strony Andrzeja czuł także jakiś przymus, widział, że jest coś, co mu duszę ugniata, a czego wyznać nie chciał.

Nadaremnie mówić chcieli o sztucej i poezyi; rozmowa się rwała. Czując, że doszli do punktu, z którego się już cofnąć trudno, Andrzej pierwszy zaczął.

Wyznał, że kocha Eleonorę, kuzynkę swoją z Normandyi, śliczną piętnastoletnią dzieweczkę, która jeszcze w krótkich chodzi sukienkach.

Bawił dość długo u wuja na wsi, wtenczas Eleonora, jako dziecko dobre i niezwykle inteligentne, zajmowała go bardzo i w młodocianem jej serduszku starał się budzić uczucia wzniosłe, tkliwość i poezyę. Lubił się z nią bawić, brał ją na kolana, a ona obejmowała go drobnemi rączkami za szyję i wyciskała na obu policzkach głośne pocałunki. Do tej swobodnej zabawy z dzieckiem wkrótce tak przywykł, że z żalem dom wuja opuszczał. Oddawna pisywali do siebie, więc znał cały przebieg jej nauki, wiedział, jak myśl jej stopniowo się rozwijała, jak wyrabiał się styl i pisownia doskonaliła. Robił jej swoje uwagi, posyłał wiersze do jej pojęcia zastosowane, wskazywał książki, jakie czytać miała. Ona odpisywała mu bardzo ładnie, z listów jej wiało tkliwe uczucie, nie zapomniała nigdy o żadnem ze zwierząt domowych, pisała o nich z taką naiwnością i tak zabawnie!..

Ach! jak on lubił jej listy serdeczne, świeże i wiejską zabarwione prostotą, miłe, jak kwiatki polne...

Ale teraz zastał dziewczynkę już dużą. Panna zrobiła się już osobą poważną! Wprawdzie skakała jeszcze, jak dawniej, ale już nie u niego na kolanach. Przepadły dawne zabawy!.. Teraz zdarzało się, że nagle przybierała pozę poważną, stała w przestrzeń zapatrzona... Robił jej wyrzuty... lecz z płaczem z pokoju wychodziła.. Rzecz dziwna, te niewinne kaprysy dziecka wielką mu przykrość sprawiały, sam przed sobą przyznać się do tego nie chciał... Jeżeli ona jest bez serca, cóż na to poradzę?.. I mówił sobie, że niedorzecznością jest dzieckiem się zajmować! Postanowił nie myśleć o niej... Postanowić łatwo, ale nie myśleć niepodobna!.. O! bo też ona

taka śliczna! I poznał wkrótce, że to było uczucie już nieuleczalne. Tak jest! uczucie, którego z duszy nie wyrwać.

Janek uspokajał przyjaciela i przedstawiał mu, że ta zmiana w jej postępowaniu jest niezawodnie objawem miłości, którą pokryć chce pozorną obojętnością.

— Masz, przeczytaj—rzekł Andrzej, podając list przyjacielowi—oto co dziś od niej odebrałem, widocznie żartuje sobie ze mnie.

List ten, istotnie w tonie żartobliwym napisany, był zarazem pełen uczucia. Jan czytał głośno, oto między innemi ustęp taki:

„Dlaczego byłeś na mnie tak zagniewany, kochany kuzynku? Doprawdy, powinnabym cię za to mniej kochać, mój panie niewdzięczniku! Wyrzuty mi robiłeś, że cię unikam, że się w moim pokoju przed tobą kryję, a nie wiedziałeś, że ja tam twoje skarpetki naprawiałam, nie wiedziałeś także, obraźliwy kuzynku, z jaką przyjemnością zabierałam je od naszej Henryety i jak szybko moja igiełka biegała, jak się zwinnie między oczkami przesuwała.

— Więc ty tego nie rozumiesz—zawołał Janek, ty nie widzisz, że to dziecko ciebie kocha, i nikogo, prócz ciebie, kochać nie będzie! Czego chcesz jeszcze, czego szukasz w obłokach, poeto?.. O! gdybym ja mógł mieć choć najmniejszą oznakę... — Zawahał się, lecz po chwili rzekł:—Andrzeju, czy nie byłeś w tym czasie w Luwrze?.. czy nie zauważyłeś tam młodej, pięknej artystki, bardzo pięknej i posiadającej talent niezwykły, ale niestety! tak obojętnej na wszystko, co ją otacza, iż zdaje się, że duch jej buja w nadziemskich sferach gdzieś pośród aniołów! Ach! kiedy ją ujrza-

łem!..—A co malowała?.. przerwał mu Andrzej zdumiony.

— Nie malowała, tylko pastelami kopiowała „Syreny“ Rubensa.

— Syreny Rubensa! wykrzyknął Andrzej, a więc ja jestem jej bratem!

— Co, ty jej bratem! zawołał Janek, w uniesieniu rzucił mu się w objęcia i w bratnim uścisku złączeni całowali się czule.

Andrzej wkrótce nad wzruszeniem zapanował i rzekł spokojnie: „Jest to rzecz poważna, pomówimy o niej...

— Andrzeju, wybacz—błagalnie mówił Janek,— nie karz mnie za nierozwagę i przyjaźni swojej mi nie odbieraj!

Andrzej zapewniał go o swej niezmiennej przyjaźni, a potem dodał:

— Słuchaj, Janie, to zostać ma między nami; ja widzę, że masz szczery zamiar ożenić się z Gabryelą.

Spojrzenie Janka potwierdzającą było odpowiedzią.

— Wiedz zatem, iż to od woli rodziców będzie zależało... Ja z mojej strony tyle powiedzieć ci mogę, że z całego serca pragnę, żeby ci się powiodło szczęśliwie.

Rozeszli się obaj wzruszeni.

Janek wiadomość tę pospieszył przesłać w liście swojemu dobremu opiekunowi, który mu odpisał: „Powiedziałem ci, że jeśli Gabryela jest ci przeznaczona, okoliczności same was zbliżą. Zdaje mi się, że teraz właśnie szala losu na twoją korzyść się przechyla“.

Któż opisać zdoła trwogę i niepokój biednego

artysty, który przez tydzień cały oczekiwał napróżno Andrzeja. Brzmią mu w ustach jego stanowcze słowa: „To jest rzecz poważna, to ma zostać między nami!“ Ach! żeby on tylko siostrze nic o tem nie mówił.

I wyrzucał sobie, jak mógł o zaślubieniu jej pomyśleć, on, prostak, co z chaty wieśniaczej wyszedł! A ona taka wykwintna, delikatna i takim obdarzona talentem!

Pewnego poranku pukanie do drzwi ze snu go zbudziło, wstał i na pół ubrany pobiegł otworzyć. Wszedł Andrzej i po przywitaniu przemówił z powagą:

— Janie, mam ci udzielić wiadomości, nie sądź, żebym miał wiedzieć, jakie są co do ciebie przekonania Gabryeli. Pojmujesz, że jej wcale o naszej ostatniej rozmowie nie nadmieniłem, ale nie pozostałem w twej sprawie bezczynnym. Powtarzam ci, jest to rzecz poważna; z Gabryelą mówić jeszcze nie pora, mogłaby się zrazić i wszystko byłoby stracone. Ale z rodzicami moimi mówiłem, w zasadzie są ci przychylni. Starałem się przytem do·wiedzieć coś o twoich; nie bierz tego za brak zaufania i wybacz, ja poczytywałem sobie to za święty obowiązek. Wiadomości, jakie powziąłem, są bardzo dobre. Czy cię siostra moja pokocha, dziś nic stanowczego powiedzieć ci nie mogę, wiem tylko, że ma dla ciebie sympatyę, choć mi tego nie mówiła. Teraz, radzę ci, postępuj bardzo ostrożnie. Jeżeli kiedyś w sercu Gabryeli zbudzić się ma uczucie, Janie, przysięgam ci, iż z całej duszy pragnę, żeby ono było tylko dla ciebie.

Uścisnęli się serdecznie ci dwaj przyjaciele, nie będąc w stanie wzruszenia swego wyrazić inaczej.

ROZDZIAŁ XXVII.

Gabryela.

Janek prosił przyjaciela, żeby mu szczegóły z dzieciństwa siostry opowiedział.

— Chciałbym sobie ją wyobrazić dzieckiem maleńkiem.

— O! mój drogi, cóż ja ci powiedzieć mogę? Nadzwyczajnych wypadków w jej życiu nigdy nie było. Słońce świeciło dla niej tak samo, jak dla innych, niebo nad nią ten sam roztaczało błękit, co i nad naszemi głowami, ale, maleńką będąc, już myślą bujała w atmosferze, bardziej dla ducha niż dla oka dostępnej.

W domu była zawsze królową, panowała nad nami wszystkimi potęgą swej dobroci i słodyczą niezwykłą.

Bez cienia zarozumiałości, zastanawiała się nad sobą, dostrzegała w sobie różne braki i objawiała chęć udoskonalenia się. Skłonna do marzeń, często była zamyślona, a niekiedy wesoła i rozmowna. Na widok piękna w naturze w uniesienie wpadała, promień słońca zachwycał ją tak, jak teraz arcydziełem sztuki się zachwyca.

— Ale fakta, fakta, ja chcę faktów, — mówił Janek.

— Powiedziałem ci już—odrzekł Andrzej — że dziecinne jej lata płynęły spokojnie, robiła to, co robią inni, tylko nie tak jak inni.

My pochodzimy z Nancy, Lotaryngia jest naszą rodzinną ziemią, od najmłodszych lat patrzyliśmy na tę piękną i żyzną równinę, leżącą u stóp pagórków, winnicami zasłanych, ponad któremi wznosi się las rozległy.

Urodzeni jesteśmy w dzielnicy starego miasta, o dwa kroki od kościoła Saint Epore, gdzie się siostrzyczka moja, dzieckiem będąc, modliła, tam dusza jej, podniecona poważną muzyką organów i uroczystością obrzędów, ku niebu się podnosiła. Najbardziej pociągała ją kaplica Niepokalanego Poczęcia. Kaplica ta posiada fresk, który Leonardowi da Vinci przypisują, jest on przez czas i nieumiejętne poprawki uszkodzony, ale Gabryela tym niewyraźnym postaciom przypatrywała się z przejęciem wielkiem. Leonardo był zatem jej pierwszym mistrzem. Jej serce spokojne, jasne, jak wody jeziora, i nic go zamącić nie zdoła.

— O! Andrzeju — zawołał Janek — więc mi ją tylko zdaleka uwielbiać będzie wolno! Jakże ja jej się wydam małym i nędznym!

— Mylisz się, — odrzekł poeta — ona nie jest bynajmniej pogardliwą, ani dumną. Mówiłeś mi, że raz jeden tylko patrzyła na ciebie. Dla tych, co ją znają, to jest bardzo wiele. Nie myśl, że jesteś jej zupełnie nieznanym. Kiedyś w rodzinnem będąc kółku, mówiłem, że poznałem niedawno Jana Gerard'a. Ona zniechcenia rzuciła te kilka wyrazów: „Mówią, że ten uczeń Denevers'a bardzo jest miły i wielki posiada talent". To, co ja jej o tobie powiedziałem, niemniej dla ciebie powinno być warte od tego pamiętnego spojrzenia, które tak wysoko cenisz.

Mam nadzieję, że potrafię zwrócić jej uwagę na ciebie, i że jej zupełnie obojętnym nie będziesz.

— Szczęście całego życia mojego od tego zależy, —powiedział Janek.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Nagroda Rzymska.

Do pana Savarette'a.

„Kochany przyjacielu!

Niewymownie żałuję, że ta przeklęta podagra nie pozwoliła ci przybyć do Paryża; byłbyś dzielił z nami radość naszą.

Janek, pomimo, że pilno mu było zawiadomić cię o swojem szczęściu, zostawił mi jednak pierwszeństwo, i bardzo rad jestem, żem ja pierwszy zwiastunem dobrej wieści.

Jankowi pierwszą nagrodę jednozgodnie przyznano. Takiego tryumfu jeszcze nie widziałem, zawdzięcza go głównie swej głowie Chrystusa, która jest doskonałem wyrażeniem boskiej piękności i najwyższego natchnienia.

Widzisz, mój drogi, kto w dwudziestym drugim roku życia taką rzecz zrobił, ten niezawodnie wielkim będzie artystą.

Poczciwy chłopiec dziś rano jeszcze nie spodziewał się tego, obiecywał sobie zaledwie trzecią nagrodę.

Idąc do szkoły, wstąpiłem do niego. Wyszedł, nie zastałem go. Ci, u których mieszka, gdy ich o Gerarda zapytałem, powiedzieli mi: „Boi się, bo to dziś ważny dzień! Ach! żeby on dostał nagrodę! — Jesteście mu, widzę, życzliwi, lubicie go? —A któżby go nie lubił? Jeśli odjedzie do Rzymu, przykro nam będzie, że go stracimy, a jednak cieszylibyśmy się tem bardzo! Odchodząc, powiedziałem: „Proszę mu oznajmić, że mu wiadomość przyniosę, niech czeka na mnie.“ Byłem prawie pewien jego powodzenia. Grupy w jego obrazie odznaczają się naturalną prostotą, która jest śliczna. On jeden umiał doskonale połączyć w pejżażu powagę, jakiej przedmiot wymagał, z nadzwyczajnym wdziękiem i pięknością.

Jak tylko nagroda Jankowi przyznana została, pośpieszyłem do niego z tą wiadomością... Ale koledzy jego, którzy u drzwi gmachu szkolnego niecierpliwie na rezultat konkursu czekali, dowiedziawszy się, pobiegli i tak mnie wyprzedzili, że ich w połowie drogi spotkałem już powracających, on odurzony, jak nieprzytomny szedł z nimi. Rzucił mi się na szyję, płacząc z radości. Dotąd jeszcze tą sceną jestem rozrzewniony, jak głupiec stary.

Denevers.“

Do Pana Savarette'a.

„Drogi mój mistrzu!

Czekałem, żeby Ci najprzód mój profesor oznajmił o tak niespodziewanym a szczęśliwym dla mnie wypadku. On ci już doniósł o mojej radości, którą koledzy moi ze mną podzielają, czem dają mi dowód rozrzewniającej życzliwości.

Z objęć pana Denevers'a mnie wyrwali i na rę-

kach do mojego mieszkania nieśli. Andrzej przybiegł także.

— Czy ona już wie o tem?—zapytałem.

— Dowiedzieć się jeszcze nie mogła—odrzekł—pozwólże, niech wprzód wrócę do domu. Ale zdaje mi się, że oczekuje wiadomości z niecierpliwością, do której sama przed sobą się nie przyznaje. Kiedy dziś rano mówiłem o tobie, zarumieniła się mocno. Wprawdzie przy jej niezmiernie wrażliwej naturze, objawu tego nie należy do wysokiego podnosić znaczenia, ją i małe rzeczy wzruszają i rozczulić mogą. Ale cię zna, bo powiedziała: „On często przychodzi do Luwru, jest to najlepszy uczeń Denevers'a; prezentuje się dobrze, cieszę się bardzo, że zawiązałeś z nim stosunki przyjazne. Byłabym rada, żeby otrzymał nagrodę. Widzisz więc, że ma sympatyę dla ciebie!

— A raz tylko jeden na mnie oczy zwróciła! — rzekłem z niedowierzaniem.

— Powiedziałem ci, że to wiele z jej strony!—pocałował mnie i wyszedł.

Wieczorem był znów u mnie i powiedział: „Gabryela, dowiedziawszy się o pomyślnym rezultacie konkursu, zbladła i drżącym ze wzruszenia głosem rzekła: „Bardzo mi przyjemnie!

— I cóż ztąd wnosić należy?— zapytałem.

— Że w duszy uszczęśliwiona jest twojem powodzeniem, ale pokazać tego nie chce... Masz teraz jechać do rodziny. Może, gdy wrócisz, będę miał coś więcej do powiedzenia.

Otóż, mistrzu mój drogi, tak stoi obecnie moja sprawa...

Jan Gerard".

Do Pana Savarette'a.

„Drogi mój mistrzu!

Miałem zamiar, wracając do Paryża, zatrzymać się w drodze, aby cię, mistrzu kochany, zobaczyć i ucałować. Ale Andrzej mnie wezwał, śpieszyłem więc do niego, pragnąc dowiedzieć się, jakie ma dla mnie wiadomości.

Rozrzewniony jestem przyjęciem, jakiego od moich ziomków doznałem. Załączam tu dziennik tamtejszy, który je opisuje w sposób prosty i szczery.

Andrzej czekał mnie na dworcu kolei Północnej. Powiedział mi: „Ubocznie o tobie mówiłem z Gabryelą. Kwestya drażliwa wymagała ostrożności. Przechodziłem kolejno nazwiska wszystkich młodych ludzi, jakich znamy i pytałem jej, którego z nich wybrałaby dla siebie. Ze śmiechem zapytanie przyjęła i na każde z wymienionych nazwisk krzywiła się i poruszeniem głowy poznać dawała, że jej się żaden z nich nie podoba. No, a Jan Gerard? odważyłem się rzucić jej zapytanie. Oczy jej życia nabrały, lecz zawołała: „Andrzeju, proszę cię, przestań żartów nie rób... ty wiesz, że to być nie może!..

A gdyby to prawdą było, gdyby się oświadczył? cobyś na to powiedziała?.. coraz bardziej zmieszana powtarzała: „Andrzeju, daj pokój, nie mów... nie mów!“ „A więc powiem ci, rzekłem, Jan cię kocha, uwielbia cię, prosił mnie, żeby ci to oznajmić... Co mu mam odpowiedzieć? Stała drżąca, a ja nalegałem: „Powiedz, jaką mu dać mam odpowiedź.

„Żadnej, — odrzekła żywo, — nie znam go“.

„A gdybym ci go przedstawił? Czy zgadzasz się na to? Czy pozwolisz, Gabryelo? Pozwoliła...

Jak sądzisz, mistrzu drogi, czy mogę mieć nadzieję?...

Jan".

ROZDZIAŁ XXIX.

Zwycięztwo.

Trudno byłoby w słowach wyrazić uczucia, jakich doznawał Janek, idąc do Luwru. Chwila upragniona tak była bliska, a jemu się zdawało, że wieki dzielą go od niej, że się coraz bardziej oddala, że wymyka się przed nim.

Nadzieja bliskiego ziszczenia najpiękniejszych marzeń napełniała go radością bezmierną, a obawa utraty tego szczęścia graniczyła z rozpaczą.

Szedł jak automat, bezwiednie wewnętrzną siłą popychany ku głównej sieni, którą fresk Botticelli'ego zdobi, a którą on sam na miejsce spotkania wyznaczył. Przybył o wiele wcześniej przed godziną oznaczoną; stał wpatrzony w postać młodej dziewicy, co więcej do anioła, niż do ziemskiej istoty podobna była, a chociaż ruda, wielkiem podobieństwem do Gabryeli uderzała.

Andrzej punktualnie stawił się na czas oznaczony. Przestrzegał przyjaciela: „Pamiętaj, że tam wiele

oczów patrzeć na nas będzie, bądź oględny, strzeż się kroku nierozważnego, kieruj się rozumem. Pod tym tylko warunkiem zgodziła się...

— Bądź spokojny, upewniam cię, że warunku położonego przez nią, nie przekroczę.

Zaledwie do wielkiej galeryi weszli, Janek zdaleka dostrzegł ją, otoczoną, jak zwykle, rojem wielbicieli.

Zatrzymali się obaj u stóp jej stalugi, stojącej na wzniesieniu przed obrazem Rubensa „Królowa matką".

Andrzej cichym głosem imię jej wymówił, ona się odwróciła mocno zarumieniona i na przywitanie głową zaledwie skinęła.

Ołówek położyła, końce palców w szklance wody obmyła i, zeszedłszy ze schodków, udała się za nimi.

Nasz młody artysta tak był pomieszany i wzruszony, że sam nie wiedział co, obok niej idąc, mówi.

— Pani, jakże wielka łaska... jak wypowiedzieć szczęście... ten rzadki...

Ona nie odpowiadała wcale, a biedny młodzieniec mieszał się coraz bardziej. Weszli do sali niemieckiej. Chcąc go wybawić z przykrego zakłopotania, wskazała portret jakiejś postaci surowej i pełnej siły i zapytała:

— Jak się panu ta głowa podoba?

— Śliczna!—odpowiedział. — Ach nie, chciałem powiedzieć brzydka... ale fizyonomia dosyć... — Co ja plotę i pomyślał, jakiż ze mnie głupiec!

Zdaje się jednak, że Gabryela tę jego mniemaną głupotę przyjmowała mile, nie zrażała się nią wcale i chętnie z nim rozmawiała. W sali angielskiej po-

ciągnęła go przed obraz Constabla „Zatoka Weymouth“ zatytułowany.

— Patrz pan — rzekła — jak burza huczy w tej czarnej chmurze, szalonym wiatrem pędzonej!

— Tak pani, — wyjąkał — to straszne... Ja chciałbym wyrazić burzę, która we mnie także...

Chcąc mu przerwać, śpiesznie do następnej sali przeszła i, nie zatrzymując się, ruchem ręki objęła wszystkie płótna i rzekła:

— Lubię te obrazy Lesneura, ich prostota ma dla mnie urok.

— I ja je lubię—mówił Janek — chociaż wczoraj jeszcze innego byłem zdania, ale w tej chwili nie mam innych przekonań, tylko...

— Takie, jak moje—dokończyła, żartując.

— Otóż masz, jeszcze jedno głupstwo, pomyślał sobie.

— Pani — rzekł po chwili — nie potrafię wyrazić wrażenia od pierwszej chwili, kiedy... A! te „Syreny" Rubensa, jakimże niezrównanym blaskiem w rysunku pani jaśniały! Czy pani wie, jak ją zaraz wtenczas w mem sercu nazwałem...

— Andrzej mi powiedział—szczerze odrzekła.

On mówił dalej:

— Tąk pani... jest to dar genialny... prostym ołówkiem wyrazić...

— Proszę zbytecznie nie podnosić mojego talentu. Cała w tem zasługa znakomitego Rubensa, moje studya, z natury robione, pewnieby się panu tak nie podobały.

— Wiem o nich od Andrzeja.

Te grzeczności wszystkie mówił, byle mówić, jemu się jedno tylko pytanie na usta cisnęło:

Czy kochasz mnie, Gabryelo?

Teraz są w sali Poussin'a, Janek uspokoił się i odzyskał krew zimną. Andrzej odsuwał się od nich niby dla obejrzenia obrazów, bo chciał zostawić im swobodę rozmowy, którą jednak wszyscy słyszećby mogli.

Potem zatrzymali się przed obrazem „Ziemia obiecana". Janek, patrząc w jej oczy, jakgdyby do głębi jej duszy chciał zajrzeć, rzekł:

— „Ziemia obiecana"! Jak też pani myśli, czy my szczęśliwsi będziemy, niż Mojżesz?

Nie odpowiedziawszy, przeszła do drugiej francuskiej galeryi, a ztąd przez główne idąc schody, Janek z uniesieniem zawołał:

— Ach! ten fresk Botticelli'ego, z tym aniołem, którego ja tak lubię i który do pani...

Gabryela, jakgdyby tego nie słyszała, dążyła do Kwadratowego Salonu sztuki francuskiej i, nie zatrzymując się, mówiła:

— Te płótna Prudhon'a są prześliczne, portret David'a, przez niego samego zrobiony, ma dużo wyrazu!—Nagle, odwróciwszy się, zawołała: — O! na tych jego Rzymian patrzeć nie mogę!

— A przecież – rzekł Janek—pani w swej kopii tym wojownikom tyle życia nadać umiała.

— Robiłam, co mogłam, żeby ich ożywić; było to zamówienie do sali rady wojennej, wcale nie zabawne.

Teraz długie nastąpiło milczenie, Janek chciał mówić i odwagi mu brakło, w myśli szukał słów i znaleźć ich nie mógł; ogarnęła go dziwna trwoga i niepokonana nieśmiałość.

Szli przez wspaniałe pokoje Henryka II, Henryka IV, Ludwika XIII.

— Panie Janie — zwracając się nagle do niego rzekła — ja jeszcze nie winszowałam panu nagrody i tej cudnej głowy Chrystusa, która swym boskim wyrazem tak porusza duszę.

— To tylko pani zawdzięczam—odrzekł głosem od wzruszenia drżącym. — Błogosławiony na zawsze dzień, w którym po raz pierwszy spojrzałaś na mnie, to przywróciło mi natchnienie. Byłem zniechęcony, upadłem na duchu... Nagrodę moją pani winien jestem. Pani całą myśl moją pochłania odtąd...

Nie pozwoliła mu dokończyć, przerwała z figlarnym uśmiechem, mówiąc:

— Naprawdę?.. A może w tem tyle jest prawdy, co w tym do mojego pudełka wsuniętym portrecie, który mnie tak pochlebnie przedstawił?..

Na te jej słowa krew mu uderzyła do głowy, czyżby wiedzieć miała?.. Nie, to niepodobna... pomyślał.

Byli w sali Dieulafoy'a, stali przed wspaniałym pałacem Artakserksesa, którego wieże zdobią prześliczne kolumny, Janek nie zwrócił na nie uwagi, jego w tej chwili nic nie zajmowało, on tylko Gabryelę widział przed sobą.

W duszy jego toczyła teraz walkę miłość bez granic z nieśmiałością, charakter jego cechującą. Pragnął usłyszeć od niej wyznanie wzajemnej miłości a zapytać jej nie śmiał, cześć, jaką miał dla niej, mroziła mu słowa na ustach. A jednak odważyć się trzeba, czas uchodzi, jeżeli nie skorzysta teraz z takiej sposobności, później może być wszystko stracone.

Minąwszy sień, weszli do galeryi osobliwości, zkąd zakryte schody kręte i ciemne do muzeum marynarki prowadzą.

Na widok tego ciemnego przejścia, które przebyć mieli, Janka zdjął strach niepojęty. Andrzej szedł naprzód, za nim Gabryela milcząca postępowała śmiało. Wyprzedził ich Andrzej o całe przynajmniej piętro i znikł na zakręcie. Janek ciągle był w obawie jakiejś katastrofy, ta ciemna otchłań dusiła go. Wyszli z niej nareszcie i na światło dzienne się wydobyli. Gabryela szła prosto ku bratu, a Janek zatrzymał się na chwilę, aby odetchnąć, mocne bicie serca uspokoić i obetrzeć pot zimny, co mu jak perły na czoło wystąpił.

Już są w muzeum marynarki, oglądają w milczeniu statki i łodzie. Następnie udali się do sali środkowej, tu także mieszczą się obrazy.

Usiedli, przed nimi wisi krwawe płótno Snyders'a, które przedstawia psy z zakrwawionemi paszczami, pożerające stos surowego mięsa.

— Jakież to szkaradne—powiedziała Gabryela—wstrętna jest dla mnie ta sztuka, która wyszukuje w naturze scen najpotworniejszych i te za przedmiot sobie obiera.

Janek jej przekonania podzielał, oburzał się na ten upadek gustu i żeby zdanie swoje zaakcentować silniej, dodał:

— To tak samo, jak ten obraz ze szkoły Ribery, który przedstawia ofiarę, na tortury wziętą, czem się ta cudzoziemka tak lubowała i wnętrzności na mękach będącemu szarpała.

Gabryela rzuciła mu spojrzenie, w którem on ostry wyrzut wyczytał i przerażony, pomyślał: „Z pewnością wie, ale któż jej tę tajemnicę mógł odkryć?... Czyż to być może, żeby widzieć miała, ona, co nigdy nie patrzy?..

Zdawało mu się, że już w jej oczach jest zgubiony i rozpaczliwie zapytał:

— Panno Gabryelo, za co spotyka mnie to surowe wejrzenie?

— Nie rozumiem pana — z najwyższą odrzekła dobrocią.

On, czując się winnym, w tych słowach widział dla siebie przebaczenie i uspokoił się.

Znów idą, te same ciemne, kręte schody otwierają się przed nimi. Andrzej poszedł znów naprzód, a Janek i Gabryela szli razem, byli zupełnie sami; idąc obok siebie słyszeli uderzenia serc swoich. On ujął jej rękę i trzymał w swej dłoni: jak ptaszyna schwytana, tak była drżąca. Gabryela ręki nie cofnęła, a on, ośmielony tem, przemówił:

— Ja panią kocham, czy mogę mieć nadzieję?

Ona spuściła głowę i nic nie odrzekła. Janek znów zaczął:

— Mam pozwolenie mojej rodziny, czy pani pozwoli prosić rodziców o jej rękę?

Oczy lewą ręką przysłoniwszy, wymówiła: Tak.

Młodzieniec, uszczęśliwiony, pocałunkami okrywał jej rękę, a z oczu łzy radości płynęły.

Od tej chwili żyli jedno w drugiem. Nadmiar szczęścia mówić im nie dozwalał, lecz serca odgadywały to, czego usta wyrazić nie były zdolne. Uczucie, jakie ich serca napełniało, było czemś więcej niż zwyczajna miłość po ludzku rozumiana, ich miłość to odwieczna pieśń rajskiej rozkoszy, to najwyższe uniesienie ducha, to uwielbienie piękna.

Wróciwszy do swej stalugi, obojętna na pozór, weszła na schodki, oni ukłonem ceremonialnym pożegnali ją i wyszli.

ROZDZIAŁ XXX.

Narzeczeni.

Do pana Savarette'a.

„Kochany mistrzu mój.

Szczęścia mojego wyrazić nie potrafię. Powiem poprostu: Jesteśmy zaręczeni! Gabryela to anioł! Nie omyliłem się, znalazłem w niej ideał. Odgadłem w niej anioła, ale jej jako kobiety i kochanki nie znałem!

Czekać będziemy długo, bo małżeństwo zawarte wcześniej być nie może, aż po moim powrocie z Rzymu.

Pewni siebie, czekać będziemy cierpliwie.

Przyjedziesz, drogi mistrzu, do Paryża, to ją poznasz!

W niedzielę pojedziemy wszyscy do Wersalu. O! gdybyś mógł być razem z nami!

. . . .

Jan Gerard".

W Wersalu.

Savarette Gabryelę znał tylko z tego, co o niej pisał zakochany, miał więc prawo przypuszczać, że pochwały były trochę przesadzone i przewidywał, że dozna zawodu, lecz to, co w niej znalazł, o wiele jego oczekiwanie przewyższało. Był nią zachwycony.

Ten czar niezwykły, jakim porywała, pochodził ztąd, że najpiękniejsze przymioty duszy połączone w niej były z nadzwyczajną pięknością zewnętrzną.

Savarette zaraz po dopełnieniu pierwszych form powitania:

— Gabryelo—rzekł—nie miej mi za złe, że cię po imieniu nazywać będę; ponieważ dla ciebie takie samo, jak dla Janka mam uczucie, nie chcę przeto różnicy między wami robić w mojem sercu, gdzie was nierozdzielnie obok siebie połączyłem.

— Dziękuję—odpowiedziała z czułością i przybliżyła się dla odebrania jego ojcowskiego prawie pocałunku.

— Ja kochałam cię, panie — mówiła dalej — wprzód nim Janka i nim ciebie poznałam, a teraz kocham cię jeszcze bardziej.

Działo się to w sali na dworcu Montparnasse.

Savarette, chociaż drogą trochę zmęczony, przybył tu na oznaczoną przez Janka godzinę, chcąc wziąć udział w wycieczce. Ponieważ na zaręczynach być nie mógł, korzysta teraz ze sposobności, by poznać bliżej narzeczoną i przyszłych rodziców swego młodego przyjaciela. Byli tam i państwo Debèrge i Andrzej; wkrótce między nimi a Savarette'm przyjazny stosunek został zawiązany.

Piękny był poranek sierpniowy, słońce jasno świeciło, ogólny nastrój towarzystwa był rzewny.

Młodzi, rozmarzeni, milczeli. Savarette przypominał sobie, jak za młodych lat na wieś wyjeżdżał, jak, zostawiwszy za sobą Paryż i troski wszelkie, rozkoszował się powietrzem i cieszył nadzieją dobrych studyów z natury.

Mijają Clamart, mijają Meudon, rozmowa toczy się o rzeczach obojętnych, nie mających nic wspólnego z tem, co ich serca zajmuje.

Przybywają nakoniec do Wersalu.

Wersal, pełen pamiątek i wspomnień minionej bezpowrotnie przeszłości, dziś jest pustką zamarłą, której nic do życia zbudzić nie może. Pomimo, że dwie drogi żelazne co pół godziny przywożą tu tłumy ciekawych, jednakże ani ogromne ulice, ani obszerne place, ani nawet pałac sam, ożywić się nie mogą, bo te tłumy rozpraszają się natychmiast i giną w ogromnej przestrzeni.

Pałac ten to kolos z kamienia, który napróżno napisem swym: „A toutes les gloires de la France“ głosi cel wielki, bo w gruncie rzeczy jest on tylko olbrzymim pomnikiem pychy.

— Ten pałac okazały wzniosła duma—zawołał Savarette—duma go stworzyła i duma tylko zamarłe jego życie wskrzesićby mogła. Ale Francya szlachetną dumą teraz nie grzeszy; Francya teraz swej własnej nie szanuje wielkości, jakże ma szanować to, co było płodem nadętej pychy? Francya teraz straciła wiarę w swą własną siłę i do obcych się umizga.

Z temi słowami Savarette'a całe towarzystwo weszło do restauracyi na śniadanie.

Gabryela zachwycająca była swoją wesołością. Chciała w pełni używać swego szczęścia, oddalała dziś od siebie wszelkie myśli przykre, a przedewszystkiem to podejrzenie niepokojące, które ją prześladowało, a którego zgłębiać nie miała odwagi... bo są rzeczy takie, od których się umiera...

Ach! po co tak ciekawą była?..

Więc dziś chce w tem widzieć rzecz, nie mającą znaczenia, zabawę tylko i nic więcej...

— Ach! jak to przyjemnie bawić się wesoło, nie myśląc o niczem! — mówiła — trzeba umieć na swoją

korzyść użyć wszystkiego, co się nam nastręcza; dla tego ja dziś wszystko chcę widzieć pięknem!

I zaraz słowa jej w sprzeczności były z tem, co przed chwilą powiedziała, bo zbliżając się do pałacu, rzekła:

— Nie podoba mi się ta fasada, wygląda prędzej na koszary niż na pałac.

— Rozumiem cię, Gabryelo—odpowiedział na to Savarette —Kiedy tu przed pięćdziesięciu laty po raz pierwszy przybyłem, nie miałem wtenczas gustu tak wyrobionego, jak twój i nie odróżniałem dobrze pojęcia ogromu od wielkości, a jednak, o ile sobie przypomnieć mogę, takiego samego, jak i ty, doznałem wrażenia. Objawić go nie mogłem, gdyż byłbym tem wyrządził przykrość mojemu zacnemu opiekunowi, który oddawna pragnął dać mi poznać to cudo niezrównane, jak się wówczas wyrażano. Wszystko tu wtenczas podziwiano.

Rozmowa przeszła na malarstwo.

Janek, bez wątpienia, cenił wysoko dawnych mistrzów, ale chciał iść w sztuce naprzód i mówił:

— Natura jest nieskończona, powinna być zatem przedmiotem nieskończonych badań i doświadczeń!

Mówili o impresyonizmie.

— My także—dowodził Savarette—uważaliśmy się za impresyonistów, ale nie krzyczeliśmy na całe gardło i nie bylibyśmy nigdy o tem pomyśleli, żeby wyraz ten na sztandarze naszym wypisać. Było to tak naturalne! Alboż sztuka, od początku swego istnienia, żyła czem innem niż wrażeniami? Czy mniej zwracaliśmy uwagi na drgnienia duszy i na blask światła? Czy nie staraliśmy się podpatrzeć pierwszego

brzasku jutrzenki? Czy nie robiliśmy pod parasolem także studyów w słońcu południowem, które nam z tyłu kark przypiekało?.. robiliśmy to wszystko na piętnaście, dwadzieścia lat przed tymi, którym się zdaje, że wymyślili nową sztukę.

— O tak, i my żyliśmy wrażeniami, ale nam to nie przeszkadzało bynajmniej poznawać technikę i uczyć się rysunku. Nasze dawne wrażenia były w zgodzie ze zdrowym rozumem, gdy tymczasem nowe są w sprzeczności z tem, co spostrzegamy w naturze. Taki impresyonizm jest dla zwolenników dogodniejszy... oni już dawnych mistrzów studyować nie potrzebują!..

Janek przeczył temu. I on był młody, ale umiał cenić piękne dzieła swoich poprzedników; a chociaż był zwolennikiem nowych prądów, nie pochwalał jednak bynajmniej w malarstwie fałszywych tonów, które z prawami harmonii są niezgodne. I pojmował dobrze, iż nie należy rysunku i kompozycyi zaniedbywać w obrazie dla światła, jak to czyni wielu mniemanych impresyonistów, którzy tworzą krzyczące bohomazy.

Zaledwie wyszli z pałacu, Gabryela wydała okrzyk podziwu i, wskazując przed siebie na park, powiedziała:

— Otóż to jest prawdziwie piękne! Patrz, Janku, co za śliczna gra świateł i cieni! jakie to jasne i ciemne zarazem!

— O! Gabryelo, jakże my jesteśmy szczęśliwi! —zawołał.

Potem, spostrzegłszy kobietę, sprzedającą ciastka, jak dzieci ku niej pobiegli, i wszystek jej towar zakupili; sami zjedli po ciastku, a resztę rozdzielili

między zgłodniałą biedną dziatwę, która się tam w blizkości bawiła.

Wtem odezwała się muzyka, nasze towarzystwo jej tonami pociągnięte, weszło do altany, gdzie grała orkiestra. Ale młodzi długo tam pozostać nie mogli, trzeba więc było iść za nimi do gaiku Apolina, gdzie tłumu uniknąć chcieli. Tam Gabryela mogła podziwiać Ludwika XIV, który do rzędu bogów podniesiony, ukazuje się w postaci Apolina. Uprzykrzywszy sobie swój świetny strój zwykłego śmiertelnika, przedstawia się tam w nagości bóstwa nieśmiertelnego.

Ale ci zakochani są tyranami bez litości, i starzy muszą znów dążyć za nimi do Trianons, do tych rozkosznych ogrodów, gdzie wszystko łudzi rozkoszną sielanką, wszystko tchnie miłością.

Widać ich było jak się gonili, to znów znikali za kłębami gęstych drzew, a wtedy pani Deberge nawoływała ich niespokojnie, jak kura, kiedy jej kurczęta zanadto się od niej oddalą. Oni wybiegali znowu pełni życia i wesołości.

Nareszcie zniknęli, starzy spuścili ich z oczu i nie wiedzieli gdzie się ta młoda para znajduje...

Oni tymczasem znalazłszy miejsce ustronne i krzewami zupełnie zasłonięte tam się zatrzymali. „Rozkoszne miejsce", mówiła Gabryela, a on w upojeniu sam nie wiedząc, co czyni, już ją drżącą objął ręką i przycisnął do siebie, ust jej szukając.

Ona konwulsyjnym ruchem, skromnością powodowana, z objęć się jego wyrwała.

Janek nie był już panem siebie: — Ja cię kocham!—ja cię kocham! – powtarzał i ujął znów narze-

czoną, która już opierać się nie mogła i usta ich w pierwszym złączyły się pocałunku!

Za chwilę pani Debérge ujrzała ich powracających, a oni, jak dwoje dzieci, wchowanego się bawiące, z głośnym śmiechem do matki przybiegli.

— Gdzieżeście wy byli? matka pytała.

Dzień już był na schyłku. Słońce zachodziło i już tylko szczyty najwyższych drzew swym czerwonym blaskiem oblewało, a szeregi drzew idące wzdłuż alei, pnie swoje kąpały w cieniu, który je obejmował od dołu; w alejach przesuwały się tłumy niezliczone.

Państwo Debèrge jeszcze obiad zjeść chcieli w Wersalu, wstąpili zatem do restauracyi obok dworca kolejowego.

Po obiedzie, spędzonym wesoło, całe towarzystwo powróciło do Paryża.

ROZDZIAŁ XXXI.

Rozłączenie.

Rozstać się musieli. Sześćset mil ich dzieli; przez kilka lat widywać się będą tylko podczas wakacyi.

Pomijamy tu ich smutki, ich niepokoje, i radość, jaką sprawiał list każdy, tak gorąco upragniony. Cała dusza Gabryeli w tych listach się odbijała. Pisała w nich o wszystkiem: o swoich pracach, o doznanych zawodach i o swoich śmiałych projektach.

Innym razem wyrażała swą radość, jakiej doznaje na widok jasnych promieni słońca, które jej ogródek przy pracowni oświecają. Donosiła o spodziewanym przybyciu z Szwajcaryi młodej panienki, którą, jak siostrę kocha. Jest to artystka z prawdziwym

talentem, więc cieszy się naprzód nadzieją wspólnych wycieczek, wyobraża sobie, jak będą malowały razem na wsi, wśród pól zbożem pozłoconych, wśród łąk zielonych i drzew cienistych. Pisze także, jak w kościele poważna muzyka organów i wzniosła pieśń „hosanna“ jej duszę wyższem przejmuje uczuciem, i miłość do nadziemskiego ideału podnosi.

Czasem znów listy jej były pełne dowcipu i wesołości; tylko o swojej tęsknocie, o pragnieniu zobaczenia ukochanego nie pisała nigdy, żeby jego przykrości nie powiększać, i nie podniecać niecierpliwości oczekiwania, która i bez tego serce mu szarpała.

Starannie unikała także wzmianki choćby najmniejszej o tem, co było dla niego wyrzutem dręczącym, co mu, jak mniemała, na sercu ciążyło, o tej jego słabości, której zbadać dokładnie nie chciała i samą myśl o niej od siebie oddalała... A jednak jak ją to dręczyło!...

— To być nie może, żeby on miał być winnym, myślała, to wina tej zręcznej intrygantki!... Ale bo też ona była ode mnie piękniejsza.

Janek w gorących słowach opowiada swoje marzenia na kanapce pod cienistym dębem w ogrodzie willi Médicis. Tam w samotności rozkoszuje się wspomnieniem pocałunku w Trianon. A wśród jakiej wspaniałej dekoracyi!... Tam na drugim końcu świętego miasta kościół Świętego Piotra i Kampania Rzymska i Tyber i Tivoli. Jego listy nazwaćby można aktami uwielbienia, a na tle tych uniesień artystycznych jaśnieje zawsze Gabryela.

Potem następują uniesienia bez końca nad kaplicą Sykstyńską.

Pisywał także często do Sawarette'a, donosząc mu o swoich pracach, a przy tem z prośbą o rady.

Savarette nigdy mu ich nie odmawiał i jak dawniej, tak i teraz po ojcowsku mu serce swoje otwierał i wiedzą swoją się z nim dzielił.

— Niesłusznie przeciw szkołom krzyczą!—pisał do niego. Szkoła Sztuk Pięknych dostarcza modeli i pracowni bezpłatnie, a Szkoła Rzymska zapewnia kilka lat spokojnych studyów, i wszelkie troski powszednie, wszelkie kłopoty materyalne od ucznia odsuwa, daje mu mieszkanie w pałacu najdoskonalej urządzonym i do wymagań sztuki zastosowanym i to w kraju najpiękniejszym.

Są ludzie wielcy bardzo, którzy zrobili zadziwiające odkrycie, że szkoła nie tworzy geniuszów. Ależ i Akademia Rzymska temu nie przeczy; ona nie tworzy geniuszów, lecz dostarcza żywiołów do rozwoju geniuszowi potrzebnych; daje spokój, piękność i arcydzieła. Nie wierzę w to, co o absolutyzmie nauczania prawią. W każdym razie uczy poszanowanie dla rysunku—dla formy.

Zresztą indywidualizm silny, talent odrębny powstrzymać się nie da; skruszy wszystko, co mu na drodze stanie, śmiało pójdzie naprzód i szukać będzie nowych idei i nowych dróg do ich wypowiedzonia.

— Całe nieszczęście w tem, że niektórzy uczniowie za nic mają mistrzów takich, jak Michał Anioł i Rafael i z nich nie korzystają, i nie zwracają uwagi na prześliczną Kampanią Rzymską, którą ja, dziecię Północy, za jedną z najpiękniejszych krain uważam.

Są u źródeł piękna i prawdy, a poza Alpy spoglądają i myślą o nędznych wymysłach wielkich paryskich talentów.

Kilka myśli Savarette'a o malarstwie. Określenie Piękna.

Oglądając obrazy z Rzymu do Salonu nadsyłano, zauważyłem, że nasi Garnitonowie i w Willi Medicis pojawiają się także. Impresyonizm, jak to już dawniej powiedziałem, jest stary, jak świat i Adam, jeżeli malował, musiał być impresyonistą.

Odkrycia, któremi nowa szkoła się chlubi, były rzeczą znaną wprzód, nim na widownię Garnitonowie wystąpili. Ale Garnitonowie krzyczeli głośniej, niż ich poprzednicy i dlatego ogół, nieświadomy rzeczy, w błąd wprowadzili; uwierzono im, że wynaleźli coś nowego, a oni tymczasem do potwornych granic wykrzywili tę prawdę, którą tamci oddawna wyznawali, tylko zbyt może ostrożnie i nieśmiało z nią występowali.

Ich krańcowość tę jedynie ma dobrą stronę, że artyści umiarkowani, a zbyt nieśmiali, uderzeni potwornością ich dziwacznych utworów, trochę się z nich pośmiawszy, nabrali śmiałości i odważyli się przedstawiać prawdę, której byli wyznawcami.

Obok harmonii, która polega na złagodzeniu i osłabieniu tonów, jest jeszcze inna wspanialsza, która pozwala brać kolory w całej sile ich blasku, lecz która wymaga nadzwyczajnej ich zgodności w stosunku do siebie.

Utwory Garnitonów nie dla tego są krzyczące że są zbyt jaskrawe, zbyt silne, ale dla tego, że nie są prawdziwe. Wszelkie nadużycie kolorów jest dozwolone, byle tylko tak były dobrane i w takiej z sobą zostawały zgodzie, żeby nie tworzyły fałszywego tonu w ogólnej harmonii obrazu.

— Aby przykładem stwierdzić tę prawdę, Savarette przypominał czar wieczoru tak silny i tak łagodny zarazem, wtenczas kiedy zachodzące słońce na ziemi ciemnym płomieniem przedmioty zapala, a w górze promienie jego na widnokręgu świetnym blaskiem opalu i ametystu jaśnieją, a potęga refleksu z góry jest tak wielka, że ciemne światło na dole walczy o lepsze z bogactwem jasnego kolorytu nieba. Cieni na ziemi prawie niema, są tylko zimne smugi światła, z nieba na ziemię rzucane i drgające w ciemnych blaskach gasnącego ognia. I wykazywał, jak na tem tle nastrojowem koszula żniwiarza wydawać się może białą, chociaż ją malarz oddał z jednej strony różowym, a z drugiej zielonym kolorem. Garniton, który nie jest szczery, i maluje fałszywie, zrobiłby z tego bezsensowną pstrokaciznę, chociażby nawet kolor różowy i zielony u niego słabiej był zaakcentowany. Potem powyższe uwagi streścił w kilku słowach:

— Naśladowanie powinno być celem artysty, ale nie powinno być celem sztuki, co znaczy, że malarz bezwiednie przekształca naturę, swoją duszę w nią wlewając, pomimo że ma mocne postanowienie naśladowania tego tylko, co widzi i odczuwa.

Malarstwo dekoracyjne, zależne od architektury, ma za ideał Nieskończoność myśli oderwanej, ale ideałem malarstwa, przedstawiającego życie, jest Nieskończoność Natury.

Savarette, dając określenie Piękna mówi: „Platon powiedział: „Piękno to światło Prawdy." Ale światło jest równoznaczne z Pięknem.

Piękno jest siłą wyższą, którą duch ludzki czerpie ze świata zewnętrznego, ku najwyższej rozkoszy duszy i oczu człowieka.

Poza Pięknem, uważanem w znaczeniu materyalnem, które dla wszystkich oczów jest dostępne, jest jeszcze Piękno wyższe, dostrzegane jedynie przez umysły wybrane i wyjątkowe: a ci, rzeczy przez siebie widziane, wyrażają w taki sposób i z takim wdziękiem, że one przyczyniają się do harmonii w wiekuistym koncercie Natury.

Piękne i prawdziwe tych rzeczy wyobrażenie dać może tylko ten, kto odgadł Piękno przedwieczne. Miłość tylko odgadnąć je może; artysta zatem, szukając natchnienia, powinien zjednoczyć w miłości duszę własną z duszą wszechświata.

Obrazy do Salonu przysłane.

Janek odnosił tryumfy za każdym przysłanym przez niego obrazem, a ostatni zyskał w Salonie pałacu Elizejskiego rozgłos wielki.

Był to obraz symbolistyczny, zatytułowany „Natura przyświeca sztuce w poszukiwaniu Piękna“ ale symbolizm jego był dobrze pojęty, pomysł nowy i pięknie wyrażony. Jasność promienieje w tajemniczej ciemności. Instytut uznanie głośno wyraził i ocenę zaznaczył: ‚Kompozycya bardzo piękna, i bardzo dobrze pomyślana, rysunek śmiały i doskonały, harmonia czysta, szczera i żywa i jest dowodem trafnej obserwacyi i w rodzaju zupełnie nowym.“

Obraz przedstawia w głębi śliczne i godne podziwu grupy, skąpane we mgle i oblane powietrzem, świadczy o głębokiej znajomości zastosowania barw. Na pierwszym planie jest Nimfa, jaśniejąca w swej idealnej piękności, w której łatwo poznać można jego marzenie, jego Gabryelę.

Savarette i Denevers tryumfowali w swoim uczniu, a radość ich była podwójna, gdyż Gabryela

przeszła ich oczekiwanie i tryumfy z Jankiem dzieliła.

Jej obraz przedstawiał: Febę, która swą wstęgą tęczy księżycowej otacza Marzenie.

Kompozycya cała tchnie miłością, jakaś rzewna słodycz, nadzwyczajna subtelność, z jaką oddane są światła i cienie, naturalna prostota i niezwykła śmiałość rysunku cechowały ten obraz i nadawały mu powab szczególny.

Oprócz tego był jeszcze jej portret wuja z Normandyi, odznaczający się iście męską śmiałością pędzla.

Obrazy ich budziły zachwyt i zajęcie ogólne, tembardziej, że stosunek tej pary artystycznej był wiadomy. Przed ich obrazami powtarzano: „Narzeczeni!“

Powodzenie ich było jednakowe, chociaż talenta ich wielką przedstawiały różnicę, bo też i źródła, z których powstały, zupełnie były różne.

Dzieciństwo Gabryeli w innych, jakeśmy widzieli, upływało warunkach niż dziecinne lata Janka.

Jego talent, w zawiązku, karmiły zarody sztuki. Wypłynął jak rzeka, z niewidzialnego źródła, i rósł pomału tysiącznemi podsycany wpływami.

Pierwsze jego wrażenia budzą się na widok rzeczy pierwotnych i sielskich.

Pies podwórzowy, owce i cielęta, to jego pierwsi towarzysze, a chłopak stajenny, z długim nosem, był pierwszym modelem, który mu za wzór do rysunku służył. Klekot młyna był pierwszym odgłosem, jaki jego ucho uderzył.

Leżąc w ogrodzie, na kwiecistej murawie, marzył i myślą badał głębokości niebios.

Przeciągły śpiew starego organisty, powykrzywiane, srogie oblicza świętych w kościele i ostra wymowa plebana wioskowego, dawały mu pierwsze pojęcie poezyi i sztuki.

Dla tego w jego obliczach, chociażby najpiękniejszych i najdoskonalszych, zawsze jakiś ton surowy odzywać się będzie.

Gabryela w wielkiem urodzona mieście, od najpierwszych chwil życia patrzyła na to, co najwyższa daje cywilizacya, pierwsze wrażenia estetyczne z doskonałych dzieł sztuki czerpała.

Córka artystów, wykołysana w atmosferze, wykwintną harmonią nawskroś przesiąkniętej, w najwcześniejszych swoich wspomnieniach rysuje postać ojca, jak pochylony nad miedzianą tablicą, rzeźbił przy lampie, abażurem przysłoniętej; a matkę widzi przy fortepianie. Cudne melodye Mozarta i wzniosłe burze Bethovena, zawczasu przysposabiały jej duszę do szlachetnych uniesień.

Nie była bogata, nie otaczał ją zbytek, ale dokoła siebie widziała gust artystyczny, wyrażający się we wszystkiem: i w sprzętach wyborowych, i w harmonijnem zestawieniu barw.

Jej dziecinne wrażenia z Nancy i późniejsze z Metzu, gdzie pod kierunkiem jednego z uczniów Marechala w rysunku się doskonaliła, jak równie i te, jakie z Luwru wyniosła, wszystko przyczyniło się do tego, że jej talent rozwinął się inaczej, niż talent narzeczonego i pomimo pewnych wspólnych cech, jakich dopatrzeć można, różnica ich pędzla jest uderzająca.

Dzienniki rozniosły wiadomość o tryumfie młodej pary, o czem Janek dowiedział się jednocześnie z listu swej narzeczonej.

Wkrótce potem powrócił do Paryża; dla młodej pary nadszedł dzień oczekiwany, dzień szczęścia!

ROZDZIAŁ XXXIII,

Do Jana Gerard.

Kochany Janku!

„Na całej linii tryumfujesz. Zamiast winszować, powiedzieć ci wolę, że to dla mnie prawdziwą jest radością. Starość moją opromieniasz twoją młodością i to mnie zagrzewa. We wszystkiem ci się powiodło. Wystąpiłeś do walki w podwójną uzbrojony siłę, ideał i miłość były twą bronią potężną.

„Szczęśliwy młodzieńcze! Z ziemi arcydzieł przybywasz i jeszcze w duszy je nosisz, ale nie zapomnij nigdy o tem światełku, co nad twoją kolebką świeciło, ono ci zawsze najlepszym będzie przewodnikiem. Nie zbaczaj nigdy z drogi, jaką ci sama natura wskazuje. Wszystkie moje dotychczasowe nauki i rady miały za cel, tę drogę ci oświecić i na niej cię utrzymać. Jesteś skromny, bez obawy zatem powiedzieć ci mogę: „Miej wiarę w siebie."

„Piszę do ciebie z Gandawy, dokąd przybyłem w celu odwiedzenia jednego z moich przyjaciół.

„Lubię te miasto pełne pamiątek z wieków średnich. Ponieważ w przedmiocie Piękna jeszcze raz z tobą mówić chciałem, korzystam przeto ze sposobności, jaką mi to miasto nastręcza i chwytam jeden z objawów jego Piękna.

„Przed chwilą, myśląc o tobie, przechodziłem przez jeden z niezliczonych mostów, które temu miastu miano Wenecyi flamandzkiej nadały.

Dotąd ogromny zamek, po hrabiach Flandryi

pozostały, ten kolos, sięgający czasu Baldwinów, z których jeden był królem Jerozolimskim, a drugi cesarzem Konstantynopolitańskim znałem zaledwie z niewielkich jego części, jakie się wyłamują z poza okopowych fabryk, jakie go zewsząd otaczają i, poprzyczepiane do niego, zużytkowują wszystko aż do szczytu wieży. Zamek ten, dziki i ponury, jest historycznym pomnikiem Flandryi.

„Szedłem zamyślony, nagle widok kanału zbudził mnie z zadumy. Jak dwoje flamandzko-hiszpańskich bliźniąt, dwa wysokie, żółte mury, prostopadle spadają w wodę, w których i szereg domów, z różnych pochodzących epok,i czerwone ściany, mniej lub więcej przez czas pociemniałe, stopy swe nurzają. Dalej wznosi się stare zamczysko i jak olbrzym z czasów wojen Krzyżowych, cały w srebrną zakuty zbroję, tak on w matowo - srebrnym ukazuje się świetle, a ogromny swój szyszak kąpie w opalowym blasku nieba.

„A to wszystko szerokiemi płachtami odbijało się w wodzie, która się żółtą, białą i czerwoną barwą mieniła, jakgdyby nam przez to, w sposób widoczny, zmienność wieków wykazać chciała.

„Jakież to zmiany czas przyniósł! Dziś zbrojna potęga chowa się w fortach ukrytych, w czarnych, ponurych potworach morskich, które niewiele nad wodą się wznoszą i w niewidzialnych torpillach.

„Wojna niegdyś bohaterka i zacięta, dziś na takim stanęła stopniu, że najwyższa odwaga niknie i żadnego niema znaczenia.

„Dziś wojna dymu nawet nie ma. Nie ma czem zakryć swej okropności, skutków swej strasznej prozy.

„Mógłbyś mi na to powiedzieć: Tem lepiej, bo tym sposobem przyszłość zabija wojnę, ten straszny zabytem starożytnego barbarzyństwa! I ja musiałbym ci przyznać słuszność.

„Choć powiedziałem, że Piękno znajduje się wszędzie, to jednak przyznać trzeba, że w działach nowożytnej fabrykacyi znaleźć go trudno.

„Przemysł daje korzyści nieobliczone, ale piękna nie daje i gmachów wiekopomnych nie wznosi. Wszystko jest dziś pospolite, brzydkie i jednakowe.

„Stare gmachy są klejnotami naszych miast, a to stare zamczysko jest dumą Gandawy.

„Londynowi większą chwałę i zaszczyt przynoszą uszkodzone szczątki Parthenonu, które u siebie przechowuje, aniżeli cała potęga jego przemysłu.

„Podziwia się kolosa nad Tamizą, ale Fidiasz łzy uniesienia wywołuje; dzieło jest najwyższym, najwznioślejszym wyrazem Piękna!

„Kaplica Sykstyńska jest chwałą Rzymu, przy niej niczem jest przepych i okazałość jego Cezarów kupieckich.

„Bo Piękno nietylko najwyższem jest dobrem. Jest także najwyższą potęgą.

„Piękno, to siła żywotna natury, a ta siła, przez geniusz ludzki tak w rzeczach, jak w żywych istotach wyrażona, stanowi Piękno w sztuce... Piękno takie miłość stwarza.

„Ono wszystkiemu, czego dotknie, nadaje życie nieprzeżyte.

„Większość ludzi Piękna w naturze dopatrzeć nie umie, ale dobroć Boża i dla tych dostępnem je uczynić chciała i nielicznych wybrańców, jakiemi są artyści, przeznaczyła na szafarzy tego największego

dobra, dając im wielki i niezrównany przywilej, że je wprost ze źródła czerpać mogą. Artyści zaś swoje wrażenia i swój zachwyt w dziełach swych, innym przekazać obowiązani.

„Piękno jest nieprzebranem źródłem rozkoszy nieprzywidzianych, lecz chcąc duszę poruszyć, chcąc dać jej zakosztować tych rozkoszy, do oczów przemówić należy.

„Żyjemy w wieku nauki, nie skarżmy się na to, bo nauka prawdziwa nie może być nieprzyjaciółką Piękna. Błogosławiona niech będzie nauka, która do uszczęśliwienia ludzkości dąży, która zło pokonywa, leczy i poprawia.

„Sztuka powinna być w zgodzie z nauką, i nie przestając być wyrażeniem Piękna, skarbnicą niewzruszoną tradycyi pięknych, jej odkrycia gorliwie śledzić powinna.

„O! niechaj idzie śladem, przez wielkich mistrzów wytkniętym i wśród chaosu nowych idei i poszukiwań czegoś nowego i dotąd nieznanego niech ten ślad zawsze jej przyświeca, by na bezdroża nie zeszła.

„Bez Piękna i bez Sztuki popadlibyśmy w barbarzyństwo, jedno z najgorszych, bo w barbarzyństwo uczone, które podaje sposoby szkodzenia i zadowolenia najgrubszych potrzeb zmysłowych.

„Lecz tego się obawiać nie mamy potrzeby. Nieprzyjaznym żywiołom Sztuka oprzeć się potrafi, sama natura przed nimi ją zasłoni. Zresztą wpływ wdzięku kobiety pozostanie jej zawsze. Czyż ja to mam mówić tobie, szczęśliwemu małżonkowi uroczej Gabryeli? ty sam wiesz dobrze, ile wdzięk kobiety, jej

prawdziwa elegancya i gust dobry mają dla mężczyzny uroku i jak wielki jest w życiu wpływ jego.

„Natura i kobiety Sztukę ocalą, bo one budzą miłość i podniecać ją umieją.

„O! niechaj Sztuka zawsze zadanie swoje spełnia, niech serca i pojęcia rozjaśnia i niech nigdy na usługi przemysłu niewolniczo się nie oddaje! Ona przemysł uszlachetnić powinna.

„Lecz gdyby kiedykolwiek szlachetne jej ognisko zagasnąć miało, gdyby, o swem wzniosłem zapomniawszy przeznaczeniu, zeszła do rzędu rzemiosła, o! wtedy przestałaby być siłą ożywczą, i na śmierć zanudziłaby człowieka. Bo on nie samym żyje chlebem, jemu i dla ducha czegoś potrzeba; wygoda i zbytek mu nie wystarczą i pragnąć będzie Piękna.

„Niechże więc Sztuka wznosi się wysoko ponad polityczne i przemysłowe ruchy i ponad dymy lokomotyw; niech podawnemu na swym starożytnym Pegazie, z płonącą pochodnią w ręku, ludzkości drogę oświeca.

. . . .

Savarette.“

ROZDZIAŁ XXXIV.

Owacya.

Wioska znowu w dawnym jaśnieje blasku; drzewa się zielenią, a rzeka w swym bystrym biegu, jakgdyby dla wypoczynku na chwilę w rezerwuarze wstrzymana, z szumem na koło młyńskie spada i rozpryskuje się w drobny pył tęczowy. Wszystko tu tak, jak wówczas było, gdy Savarette drzemał pod wierzbami, a mały Janek w jego pudle przewracał ciekawie. Tylko dziś głośniej tu nierównie; jakiś nie-

zwykły ruch panuje, z sąsiedniego miasteczka z wiatrem dolatują zmieszane szumy: słychać muzykę trąb, odgłos dzwonu rozchodzi się z dzwonnicy, na której zatknięte powiewają chorągwie.

A przy wjeździe do wioski, gromadka ludzi się uwija i bramę tryumfalną z zieleni i kwiecia z pośpiechem wykończa.

Savarette i p. Gerard z żoną idą ku miastu, gdzie już oczekiwał tłum licznie zebrany. Chcąc uświęcić tryumfy młodej pary, na jej przyjęcie wielką przygotowano w mieście uroczystość, którą p. podprefekt zaszczycić ma swoją obecnością.

Na obszernym placu wzniesiono estradę, dla muzyki przeznaczoną, i przystrojono ją mnóstwem chorągwi; banda niecierpliwych dzieciaków ją oblega i strażnik rozpędzać musi ten drobiazg niesforny.

Muzyka z trąbami dąży na dworzec kolei, a na przód obok Savarette'a i państwa Gerard idą poważnie: podprefekt z merem.

Pociąg nadchodzi, już się ukazuje, przybliża się, zwalnia i staje. Drzwiczki się otwierają, a z okien mnóstwo ciekawych głów wygląda. Okrzyk: Są! są! daje się słyszeć. Muzyka zagrała Marsyliankę. Janek z Gabryelą wysiadają. Następują przywitania i pocałunki.

Gabryela szczęściem promieniejąca, idzie, ogólny szmer uwielbienia jej towarzyszy.

A ona by rada cały ten tłum całować, bo w nim życzliwość szczerą zgaduje.

Orszak cały zawrócił do miasta, muzyka w tym tryumfalnym pochodzie ciągle przygrywała.

Uroczystość dzisiejsza już od kilku miesięcy była oczekiwaną; nowożeńcy opóźnili przybycie, ponieważ

zatrzymywali się nieco dłużej w Holandyi, w Niemczech i we Włoszech.

Na spotkanie przybyłych gości już na ganku przy wejściu pan podprefekt czekał z kielichem w ręce, a wniósłszy na ich cześć toast, wygłosił piękną mowę, zaznaczając, że sława, przez nich zdobyta, spada nietylko na okolicę, ale na kraj cały.

Janek dziękował wzruszony, a Gabryela tak uprzejmie i z taką prostotą do tych poczciwych wieśniaków przemawiała, że odrazu serca ich podbiła. Teraz nastąpić miała uczta, a po niej tańce, zaledwie młodzi państwo mieli czas powitać babkę, która już z domu nie wychodziła, i swój strój podróżny zamienić na balowy. Zabawa przeciągnęła się do późnej nocy.

ROZDZIAŁ XXXV.

Pokój Temistoklesa.

Dla gości przeznaczono duży i pięknie przystrojony pokój, Temistoklesa pokojem zwany, ponieważ na głównej ścianie zawieszony był obraz, przedstawiający wielkiego ateńskiego wodza, któremu laury Milcyadesa spać nie dawały.

Kropielniczka z wodą święconą, w której gałązkę zielonego bukszpanu zatknięto, stół białym obrusem nakryty, rodzaj ołtarza tworzący, na którym duży hebanowy stał krucyfiks, jakiś klasztorny pozór temu pokojowi nadawały. Rano wstawszy, Janek otworzył okno; świeże owiało ich powietrze, niosąc snop światła jutrzenki, której promienie różowe drżały na białej ścianie, mieniącej się w opalowym i błękitnym odblasku nieba.

W białym muślinowym kaftaniku z rozpuszczonemi warkoczami Gabryela na łokciu wsparta, piękna i świeża, jak poranek majowy, obok męża w niemym zachwycie stała, a po chwili zawołała: „Cóż to za błogi spokój, co za cisza rozkoszna! O! Janku, tu wszędzie widać i czuć kolebkę twoją!“

Zeszli do kuchni, tu zastali babkę; na zwykłem swem miejscu siedząc, staruszka pończochę robiła; ojciec był w polu, a matka w mieście, dokąd się udała po zakupy na wielki obiad, który miał być dany w ogrodzie pod namiotem, o czem już naprzód w całej wsi mówiono. Ztąd udali się do jadalnego pokoju, gdzie już wyborna kawa, przez babkę przyrządzona, na gości czekała, silny jej zapach z parą rozchodził się w powietrzu. A co za mleko, co za masło! to wszystko produkta domowe.

Tu poznał Janek swoje dawne rysunki, swego Mojżesza i Mardocheusza w białych turbanach z kitami. W tych samych mahoniowych ramach i na tem samem, co dawniej, miejscu wisiały, nic się nie zmieniły, tylko liczne czerwonawe plamy świadczyły o lichym gatunku papieru. Babka, której już wzrok nie dopisywał, z przyzwyczajenia podawnemu się zachwycała, i palcem wskazując, mówiła: „Proszę patrzeć, wszak to zupełnie jak sztych, a to jest ręczna robota Janka! Albo ten turban Mardocheusza, biały jak śnieg, czy nie godzien podziwu?.. Nie widziała staruszka, że właśnie ten turban najwięcej miał plam czerwonych i już oddawna tę białość, którą podziwiała, utracił.

Gabryelę najbardziej zajmował podpis: „Rysował Jan Gerard, mając lat trzynaście.“

Janek śmiał się ze swych dziecinnych rysunków,

a kiedy wyjął srebrną do ołówka obsadkę w czerwonem safianowem pudełku i, pokazując ją żonie, powiedział: „Oto pierwsza nagroda artystyczna, jaką mi ci znakomici hebrajscy mężowie przynieśli.“ Ona, podając mu usta do pocałowania, rzekła: „Proszę z tego nie żartować.“

ROZDZIAŁ XXXVI.

Gdzie podziewają się ptaki drapieżne?

Cały poranek przeszedł na zwiedzaniu staje i stodół; zaglądali wszędzie, do koni, do krów i do owiec, biegali po ogrodzie, gonili się, jak dzieci; te wiejskie rozrywki na świeżem powietrzu, wśród drzew zielonych przypominały Gabryeli jej pobyt u wuja w Normandyi, gdzie, upojona widokiem szerokiego nieba, w szaloną wpadała wesołość, przypomniała sobie także, jak nieraz żartowała z Andrzeja, który dąsał się często na młodziutką kuzynkę Eleonorę. „Był to już początek miłości, która z pewnością skończy się małżeństwem.“ Obiegłszy wszystkie kąty w domu od dołu do góry, poszli drogą koło cmentarza, gdzie już nie było ni wieńca, ni grobu małej Leonki, cała jej rodzina wymarła... jej miejsce zostało zajęte... ale Janek je zapamiętał, pokazał je żonie i oboje przyklękli wzruszeni.

Ztąd poszli do kaplicy; mała, skromna bez wszelkich kosztownych ozdób, ściany ma niemalowane, lichtarze proste drewniane, ławki dębowe, główne jej upiększenie stanowią stacye męki Pańskiej, w czarne ujęte ramy. Na posadzce między taflami znajdują się gdzieniegdzie kamienie grobowe, znakomitszym poświęcone obywatelom. Na jednym z nich jest wyryty

1627 rok i napis: „Krystyan Gerard, urzędnik miejski“. Był to przodek i założyciel fermy Gerardów. Janek rzekł do żony: „Ojcowie moi i ja tu byliśmy chrzczeni, pragnę, żeby i nasz syn ochrzony tu został“.—Och! tyle szczęścia, Janku! I klęczeli oboje w pobożnych myślach zatopieni. Po chwili Janek pocichu do żony mówił: „Pewnego razu w Paryżu byłem bardzo, bardzo smutny, czułem się bardzo nieszczęśliwym, wszedłem do katedry Notre Dame, śpiewano psalmy, ja słuchałem, słuchałem i, jakby pod wpływem halucynacyi, w tej wspaniałej świątyni zdawało mi się, że jestem w tej naszej skromnej kaplicy i płakałem... bardzo płakałem... i doznałem ulgi w cierpieniu.

— To cię ocaliło! rzekła.

— Co mówisz?

— O! nic, nic!..

Janka dreszcz przeszedł zimny, jak ten wiatr, co w pogodny dzień raptem przez pole przeleci, wstrząśnie trawy i zboża i ku ziemi je pochyli.

Na powtórne zapytanie Gabryela, zamiast odpowiedzi, wskazała mu świętego Sebastyana, do słupa przybitego, jak w śmiertelnych mękach, strzałami przebity, krwią broczy.

Jankowi na myśl przyszła Mirta; ten święty, w swych mękach straszny i we krwi cały, jej sprawiałby widok miły, bo ona do ptaka drapieżnego podobna!

Co się z nią stało, gdzie się podziała ta kobieta? Alboż wiedzieć można, gdzie podziewają się ptaki drapieżne, postrachem drobnego ptactwa będące?

Wysoko ponad ziemią się unoszą, spokojnie krążą, nieznacznie skrzydłami poruszając a upatrzywszy ofiarę, nagle na nią spadają... I znowu w górę się

unoszą, krążą, spadają i znikają... Co się z niemi dzieje? gdzie umierają?.. Ale co znaczą te przymówki Gabryeli? Co ona wiedzieć może? Co znaczyło to jej „Oh! nic! nic!" Dlaczego dotąd sam jej nic nie powiedział?

ROZDZIAŁ XXXVII.

Przy obiedzie było bardzo wesoło. Po południu napływały wizyty jedne za drugiemi. Gabryela przyjmowała wszystkich uprzejmie, przytem mnóstwo dla siebie odbierała pochwał.

O godzinie szóstej wizyty się skończyły, z czego korzystając, młodzi spiesznie przez furtkę od ogrodu wydostali się na ścieżkę, w pole prowadzącą. Cisza zalegała pola, z których miły zapach zboża się rozchochodził, słychać było tylko cichy szept koników polnych, kiedy niekiedy wołaniem przepiórki przeplatany. Wszystko tu miłością tchnie, wszędzie widać obfitość, wszędzie spokój błogi panuje. Janek i Gabryela poili się rozkoszą dotąd im nieznaną. Ani w Holandyi, ani w Niemczech, ani nawet we Włoszech takiej, jak ta, nie zakosztowali rozkoszy; tu wszędzie widać zboża i wszędzie niebo, tu zapomina się o tem, co brzydkie i brudne, tu marności świata ustępują, a wszędzie dokoła w najprostszej formie najwyższe objawia się Piękno.

Gabryela, przejęta uczuciem wdzięczności, której wyrazić inaczej nie umiała, tylko te proste powtarzała słowa:—Dziękuję ci, mój ty najdroższy!... Jakie to czyste!.. jakie piękne i miłe!

Słońce jest już nad zachodem, już fioletowe cienie pokrywają niebo. Tu pokazuje się pole, całe zasiane makiem, jeszcze kwitnącym. Niezliczone jego kielichy, białe ze środkami lila, wznoszą się prosto,

jak lilie, na swych wysmukłych łodygach z liściem jasnozielonym i: jak akantus, powyrzynanym, i wydzielają zapach odurzający.

Słońce gaśnie pomału, po skwarnym dniu przejmujący chłód czuć się daje. Godzina taka do rozmyślania usposabia, Janka jakiś niepokój ogarnął, doznaje uczucia przykrego, jak wyrzut sumienia.

Ona wie, to żadnej nie ulega wątpliwości... myślał. Ale co wie?... ile wie?... Dlaczego jej wszystkiego szczerze dotąd nie wyznał? Dlaczego ona nie powie otwarcie, tylko niewyraźne czyni przymówki?...

Ach! ona się obawia... wiadomość o brudnym czynie zabiłaby ją...

Szli długo w milczeniu. Ta tajemnica, co ciąży nad nimi, jakże ich strasznie w tej chwili przygniata. Czują, że szczere wyznanie ulżyłoby im ciężaru.

Janek przerwał nareszcie to przykre milczenie:

— Gabryelo!—rzekł, powiedz tę tajemnicę, która ci ciąży, a której usta twe wymówić nie chcą.

— To nic—odrzekła.

— O! powiedz Gabryelo, nalegał Janek.

— Ty wiesz, mój drogi, jak ja ciebie kocham. Miłość nasza to życie nasze, to szczęście nasze! Łaska to od Boga dana, ale tę łaskę utracić tak łatwo... zasłużyć na nią trzeba!...

A widząc boleść, jaka się na twarzy ukochanego malowała, mówiła dalej: — Posłuchaj, dziś powiem ci wszystko otwarcie. Twoja własna zdradziła cię niezręczność, ona odkryła mi to, co zasłonić przede mną chciałeś, i ta sama niezręczność twoja przemawiała za tobą, nie umiałeś ukryć walki, jaką wtenczas staczałeś, widziałam, jak byłeś nieszczęśliwy i przebaczyłam ci wszystko. Później obawa przyćmienia tego

szczęścia, które stało się potrzebą życia mojego, nie pozwalała mi zgłębiać, jak daleko sięgało, jakie było to wszystko, które ci przebaczyłam!

Ach! Janku drogi, jeżeli istotnie jesteś winnym, lepiej nie mów mi tego!...

— Gabryelo, — spokojnie odrzekł — ta kobieta chwilowo mną zawładnęła, i omało nie stałem się ofiarą jej dzikiej zmysłowości, lecz niebo mnie strzegło, a tem niebem byłaś ty, najdroższa moja: z walki wyszedłem zwycięsko, nie upadłem, na miłość naszą ci przysięgam!

I szczęśliwi oboje, ze łzami w oczach, w gorącym połączyli się uścisku.

Słońce już się schowało. W uroczystem milczeniu ręka w rękę szli razem pomiędzy zbożami, przy słabem świetle księżyca, odurzeni mocnym zapachem, jaki się z rosą wieczorną rozchodził w powietrzu. Szli i marzyli oboje. A dokąd marzenia ich unosiły?...

On w marzeniu swem widział Botticelę taką, jaką mu się przedstawiła, gdy ją w Luwrze pierwszy raz ujrzał.

Botticellę, dziś już dla niego nie istniejącą, tego anioła, który na ziemię z innego przybył świata, obojętną na sławę, nie dbającą o hołdy, oddaną jedynie sztuce i wielbiącą sztukę, jak Cherubini wielbią Boga w niebie.

Ona dla niego była istotę od ziemi oderwaną, duchowem życiem żyjącą i niedostępną, którą jako uosobienie Piękna uwielbiał, a samo dotknięcie jej za świętokradztwo uważał... A dziś ta Botticella do niego należy; ta Boticella, to jego Gabryela, jemu całą duszą oddana, dla niego i w nim żyjąca.

Ona jest w jego wiosce rodzinnej, z nim razem wśród zbóż i maków pachnących i obojgu ten sam

księżyc rodzinny przyświeca i te same patrzą na nich gwiazdy... O tak! ta Botticella, to jego żona ukochana, to jego duszy część najlepsza!...

A Gabryela we wspomnieniach, jakie się w tej chwili w jej duszy zbudziły, przypomniała sobie tego pięknego młodzieńca, jak z nieśmiałością koło niej przechodząc, spojrzenie, uwielbienia pełne, na niej zatrzymywał, a ona, nie patrząc na niego, spojrzenie to widziała i czytała w niem niemą jego prośbę i szczerą cześć dla siebie. I była mu za to wdzięczną, bo jej delikatny zmysł artystyczny pozwolił jej odrazu ocenić, o ile ten młody człowiek, mimo swej nieśmiałości, przewyższał pod względem siły, charakteru i rzeczywistej swej wartości tych wszystkich, którzy ją otaczali, a których banalne pochwały były tego rodzaju, że mogły prędzej upokorzyć niż dumę jej zadowolić.

O! czemuż okazać mu swej radości nie mogła, wtenczas kiedy swój portret w pudełku znalazła. Od kogo pochodził, natychmiast odgadła, pytać o to nie potrzebowała.

A gdyby był wiedział, jak drogim był dla niej ten portret!... Ale kobiecie mówić niewolno, kobieta cierpliwie czekać powinna.

I czekała; lecz w duszy stanowczo za pana swych uczuć jego wybrała.

I w jej pamięci różne przesuwały się szczegóły; widziała, jak go ta kobieta ku sobie pociągała, jak go siłą swego dzikiego wzroku czarowała, a wtedy, lękając się o niego, ona całą duszą go pokochała, i różnemi drogami o wszystkiem, co jego dotyczyło, dowiedzieć się starała.

Napozór spokojna i obojętna, pracowała, jak zawsze, ale w duszy jej gorące wrzało uczucie. O! on nigdy

wiedzieć nie będzie, jaki niepokój wstrząsał biedne jej serce i nigdy mu nie powie, ile przez niego cierpiała!

Teraz już o tem wszystkiem zapomnieć pragnie. Znikły jej dawne obawy, teraz już wie, teraz jest pewna, że ten jej Janek, ten jej mąż ukochany, jej najwyższej miłości jest godzien! Takie myśli w tej chwili zajmowały tych dwoje kochanków i małżonków razem.

Cisza zaległa pola i łąki, wszystkie już gwiazdy na pogodnem niebie świeciły, a oni coraz bardziej do siebie przytuleni w milczeniu wąską idą drożyną.

Nagle Gabryela zadrżała, on uczuł silne wstrząśnienie jej ręki. Opromieniona jakimś blaskiem nieznanym, jakby w aureoli świętej zwróciła się do niego i drżącym lecz poważnym głosem rzekła:

— To, czemu wierzyć dotąd nie śmiałam, prawdą jest: drżenie poczułam; Janku, ja matką jestem!

On w czułem tulił ją objęciu i, bezmierną przejęty radością, patrząc na gwiazdy, dyamentowe rzucające blaski, rzekł:

— Patrz, Gabryelo, te gwiazdy święcą nieśmiertelność naszą i głoszą zachowanie rodu naszego na wieki.

Gabryela, przejęta szczęściem swego macierzyństwa, odrzekła:

Tak, ale, Janku, te gwiazdy głoszą także to, co i dla naszych dzieci i wnuków rozkosz najwyższą stanowić będzie; bo one Piękno wiekuiste głoszą.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Szczęście.

Fermę Gerardów szczera wesołość ożywiła, oblicza wszystkich promieniały szczęściem. Gabrye-

la podbiła serca rodziców, którzy dla niej pewien rodzaj czci okazywali.

Zabliźnione serce Savarette'a napełniało teraz uczucie radości, która łączyła się z jego najmilszemi wspomnieniami. Myśląc o swej ukochanej Marcelinie, wyobrażał ją sobie zadowoloną i uśmiechniętą, widząc ją pod wpływem uroku tego nowego uczucia, które mu życie rozjaśniło i dawny jego smutek łagodziło. I bez najmniejszego wyrzutu oddawał się radości, jaką mu sprawiał widok szczęścia tych dwojga młodych; przyjemne mu także było towarzystwo prostych lecz poczciwych Gerardów.

Odżyły dawne jego uniesienia i młodzieńcza odezwała się siła.

Wszyscy spostrzegali w nim wielką zmianę, objawiał życie i zapał, w jego wieku niezwykły.

Podczas wielkiej uczty, która się odbyła w ogrodzie pod namiotem, a na którą wszystkie miejscowe znakomitości zostały zaproszone, Savarette nadzwyczaj był ożywiony i serdeczny. Żartował nawet ze swojej podagry, która go już od pół roku nie nawiedzała.

Mieszkał zawsze jeszcze w hotelu, przyzwyczajenie do życia samotnego i do zupełnej niezależności nie pozwalało mu przyjąć ofiarowanej na fermie gościnności, ale codziennym bywał tam gościem. Janek i Gabryela w wycieczkach artystycznych towarzyszyli mu zwykle i z nim razem malowali swe studya. Gabryela z zajęciem wielkiem studyowała tę wiejską naturę, która dotąd tak mało była jej znana.

Savarette często wspominał swój dawny pobyt w Bretanii. Prowincya ta zawsze niezmiernie wiele miała dla niego powabu i teraz nietylko że sam zobaczyć ją jeszcze pragnął, ale chciał ją także i młodej parze dać poznać, dlatego ze względu na stan Ga-

bryeli zasięgnął rady lekarza. Ten oznajmił, że najmniejszej w tem nie widzi przeszkody, ponieważ młoda pani jest zupełnie zdrową, zalecił tylko, żeby zbytniego wystrzegała się zmęczenia.

Pojechali więc do Douarnenez; lato było prześliczne, zatoka—czarodziejka rozwijała przed nimi swoje najwspanialsze klejnoty. Dwa razy tylko, przez czas ich trzy - miesięcznego pobytu, burzyła się gniewna, jakgdyby pokazać chciała, jak straszną być umie, gdy ryczy, pieni się i huczy w grotach nad brzeżnych.

O! te groty —to rozkosz prawdziwa dla Gabryeli, ona tam szuka chłodnego dla siebie schronienia, wtenczas, gdy Savarette i Janek, z teką pod pachą, krwawią sobie ręce o ciernie zarośli, drapiąc się po górach, by dosięgnąć tych miejsc dzikich, gdzie ogromne odłamy skał jedne na drugich się wznoszą, jak ołtarze z czasu Druidów.

Nic równie pięknego, jak te jaskinie, do których morze zagląda i blaskiem swych fal ich ciemnię rozjaśnia.

Gabryela zachwycała się pięknością tych sklepień, złotem przetykanych, zkąd woda, przesączając się przez liczne szczeliny kropla po kropli, spada i wydaje głuchy odgłos, który miesza się z nieustającym szmerem fal, toczących w dali swoje szmaragdy, dyamenty i szafiry.

Tam godzinami całemi rysowała, chcąc przenieść na papier cudowne kształty, które ją zachwycały i oddać pastelami ich koloryt niezwykły.

Janek, chcąc zrobić żonie niespodziankę, wszedł znienacka i z tyłu ostrożnie objął ją wpół i złożył na szyi pocałunek. Ona, udając przestrach, krzyknęła, a potem, zwróciwszy się do męża, pocichu mu powiedziała:

— Czułam, że zadrżało, gdy wszedłeś.

Ona dziś już dziecięciu swemu, w zarodku dopiero będącemu, za każdym jego ruchem, swą miłość macierzyńską objawićby chciała. I ta dobra matka stara się teraz i ducha i ciało swoje wzmocnić, by tym sposobem wzmocnić dziecię swoje; żeby mu zawczasu wszystkie zapewnić doskonałości, przejmuje się wszystkiem, co piękne, dobre i wzniosłe.

Więc nasyca się sztuką, żeby jej dziecię było piękne, wielkością, żeby było szlachetne, niebem, żeby było dobre, światłem, żeby było szczęśliwe, oceanem, żeby było czarujące, śmiałe i dumne.

Robili wycieczki po okolicy, zwiedzali piękniejsze miejsca i bywali na odpustach. Zabierali zwykle ze sobą zapasy i, zatrzymawszy się na odpoczynek, w cieniu drzew na łące, lub w lesie, urządzali śniadanie niewykwintne, lecz wybornie smakujące.

Pewnego razu udali się na odpust do Folgotë; napływ ludności był tak wielki, że niepodobna było znaleźć kawałka miejsca wolnego, ani trochy cienia; tłumy zalegały wszystkie place, nietylko przed kościołem i w mieście, ale nawet łąki sąsiednie. Słońce żarem sypało, upał był dokuczliwy. Nasza trójka artystów postanowiła wyszukać dla siebie koniecznie taki kącik cienisty i, wsiadłszy do powozu, na los szczęścia jechać kazali.

Więcej niż milę przejechali, nigdzie ani jednego drzewa nie dostrzegli; step i step, bez śladu cienia, drobnemi tylko gdzieniegdzie porośnięty krzaczkami. Nareszcie ujrzeli zdaleka, z poza pagórka, wyłaniający się las. A był to las szczególny: ani jednego nie było w nim drzewa żyjącego, same tylko szkielety drzew stuletnich. Powykrzywiane ich konary, jedne na drugie nieruchomie pochylone, jakgdyby w ucieczce przed wiatrem, od morza wiejącym, śmierć na-

gle zatrzymała. Las ten opasany był murem, dziś już rozwalonym.

— Jedźmy tam, jedźmy — gorączkowo wołała Gabryela, podniecona widokiem tego tajemniczego i fantastycznego ustronia — tam, w tym drzemiącym lesie, zjemy śniadanie!

Dalej jadąc, dostrzegli za lasem bramę, park rozległy i stare opustoszałe zamczysko z czasów feodalnych. Główna jego część przedstawiała ruinę bez dachu i bez podłogi, tylko wieża z galeryą, herbami ozdobiona, była w niezłym jeszcze stanie. Mieszkał w niej leśniczy, który im uprzejmie to swoje romantyczne schronienie ofiarował, a przez swych gości zaproszony, zasiadł razem z nimi do śniadania. Ach jakie wesołe było to śniadanie, a jak po przejażdżce smakowało!

Cały ten pobyt w Bretanii był szeregiem przyjemności i niespodzianek, codzień przedstawiało się coś nowego.

Niewiele w kraju całym znajdzie się miejsc, któreby tyle miłych wrażeń i tak pięknych, a niezwykłych widoków dostarczyć mogły.

Savarette sam siebie teraz nie poznawał. Jego wielka, niemal ojcowska czułość dla Janka i Gabryeli odmładzała go, serce jego z ich sercem zgodnie uderzało.

Od czasu swej żałoby nie miał chwil tak błogich, jak teraz. Może to nieroztropnością jest z jego strony, myślał, że się tak bardzo tym rozkoszom oddaje i wystawia się na rozczarowanie, które wcześniej czy później nastąpić może.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Reakcya.

Wkrótce ten zbytek szczęścia przeraził Savare-

tte'a i pytał sam siebie: Czy ma prawo takiej oddawać się rozkoszy?

Tak wielkie przywiązanie do tych dwojga młodych istot nie jest-że z jego strony sprzeniewierzeniem się pamięci Marceliny? Wprawdzie oni jego miłości najzupełniej są godni, ale przez nich on coraz bardziej od Marceliny się oddala. A ona tam czeka na niego w niebie, tam w miłości najwyższej połączą się na wieki.

Ona przez niego i dla niego umarła w chwili, kiedy mu dziecię na świat wydała; ją tylko jedną miłować i wielbić powinien i pamięci jej na zawsze wiernym pozostać mu należy. I mimowoli w duszy jego odezwał się wyrzut, że ta urocza Gabryela, którą jak córkę pokochał, pomału, pomału zacierała w jego pamięci obraz tamtej tak bardzo niegdyś ukochanej a dawno już nie żyjącej.

Nigdy Janek i Gabryela wytłómaczyć sobie nie potrafią tego wyrazu głębokiego smutku, jaki się w jego twarzy malował i to w chwilach, kiedy najszczęśliwszym czućby się powinien. Pytać go nawet o to przestali, widząc, że mu to przykrość sprawiało.

Nareszcie Savarette bliski swój wyjazd im oznajmił, mówiąc, że chce czas jakiś pozostać sam dla obmyślenia projektów do swych nowych obrazów. Młodzi chcieli mu towarzyszyć.

— Wiecie—powiedział im—jak wasze przywiązanie jest dla mnie drogie, ale czuję teraz potrzebę samotności i rozstać się musimy.

Pożegnanie było, jak zwykle, bardzo serdeczne, ale w tem odejściu domyślano się czegoś bolesnego.

Kiedy powóz ruszył i kiedy z oczu ich stracił, żal serce mu ścisnął.

Savarette prędko ból opanował i oddał się wspomnieniom Marceliny, tej ubóstwianej kobiety, którą

utracił na zawsze! Nie, nie na zawsze, pewien jest, że ją kiedy zobaczy znowu piękną, dobrą i czułą!

O! ona wcale zazdrosną nie była, jej piękna dusza na to zbyt była szlachetną... Zresztą i ona pokochałaby z pewnością Gabryelę... Prawda, ale on czuje, że Gabryela zanadto go zajmowała, za wiele dla niego miała powabu, bo on winien był cześć pamięci tej, która od niego odeszła.

Starał się potem uspokoić i mówił sobie, że gdyby nie to wielkie dla Janka przywiązanie, chłopiec byłby pewnie prostym pozostał wieśniakiem. Ta myśl była dla niego pociechą i uspokojeniem.

Wróciwszy do siebie, odzyskał dawny spokój ducha, nazajutrz po przyjeździe studya swoje rozpakował i wziął się do pracy ochoczo.

Chociaż odczuwał żywo brak dwojga młodych, z którymi dusza się jego zrosła, starał się jednak przytłumić głos serca, które go ku nim popychało. I mówił sobie, że pomimo całej ich wdzięczności i przywiązania, jakie mu okazywali, mogła przyjść chwila, w której jego obecność byłaby dla nich uciążliwą. Kierunek jego już im teraz niepotrzebny... Starzy powinni umieć cofnąć się w porę i oddać się rozmyślaniu o wieczności.

ROZDZIAŁ XL.

Wszystko skończone.

Tak niespodziewany i nagły wyjazd Savarettéa prawdziwą sprawił przykrość Jankowi i Gabryeli, smutno im teraz było bez tego zacnego przyjaciela, którego za ojca prawie uważali.

Z początkiem listopada nastały słoty jesienne.

Nasza młoda para postanowiła rozpoczęte obrazy w pracowni wykończyć i do Paryża wrócili.

Ponieważ Gabryela spodziewała się słabości przy końcu stycznia, nie mieli zatem zamiaru ani do rodziców, ani do Savarette wyjechać przed wiosną, tem więcej, że list, jaki od niego otrzymali, zupełnie ich uspokoił; przebijał z niego szczery zapał do pracy i zupełny spokój ducha. Pisał w nim nawet, że swoje szczęśliwe z Brelanii chwile w obrazie chce przedstawić.

Janek i Gabryela pracowali także bardzo gorliwie nad wykończeniem swoich obrazów, przeznaczonych na wystawę do Salonu.

Zima się przybliżała. Pora to dla artysty dobra do robót w pracowni. Kiedy na dworze wiatr zimny śniegiem w oczy miecie, on w dobrze ogrzanej pracowni malować może słońce, które na jego wyobraźnię ożywczo działa.

Mroźny był, lecz pogodny poranek grudniowy, nasze młode małżeństwo, na bok pracę odłożywszy, dla zdrowia i rozrywki dłuższej chcieli użyć przechadzki.

Wyszli i dość znaczny już kurs zrobili, a będąc w blizkości Luwru, nie mogli oprzeć się chęci zwiedzenia muzeum.

Gabryela ślicznie wyglądała w swojej ciemnozielonej futerkiem obszytej pelerynie; jej piękność nabrała teraz więcej wyrazu, postawa zrobiła się okazalsza, a żywe rumieńce, przez wiatr i mróz wywołane, blask jej oczu podnosiły.

Przypomnieli sobie swą pierwszą po Luwrze wspólnie z Andrzejem odbytą przechadzkę, miłe było wspomnienie; teraz tak samo jak wtenczas i w takim samym porządku wszystkie obeszli sale. Nie pominęli i tych ciemnych krętych schodów, tak dla nich pamiętnych i, zatrzymawszy się tu na chwilę, miejsce to

długim wzajemnym uświęcili pocałunkiem. Zwycięstwo z Samotracyi aktem uwielbienia uczciwszy, wyszli przez plac Karuzelu.

Janek spostrzegł jadącego dorożką Denevers'a; oboje ku niemu z serdecznem powitaniem pobiegli. Denevers kazał stanąć i blady, wzruszony podał im depeszę: „Savarette bardzo źle, zapalenie płuc, przyjechać!"

Jak piorunem rażeni stoją, własnym oczom nie dowierzają, raz jeszcze depeszę czytają.

— Mam tylko dziesięć minut, — powiedział, żegnając ich Denevers, żebym się tylko nie spóźnił.

Przygnębieni tą wieścią, wsiedli do pierwszej dorożki, jaką spotkali, i pojechali do domu. Tu taka sama czekała ich depesza.

Ze łzami w oczach gorączkowo przygotowania do drogi robili. Mieli nadzieję, że go jeszcze przy życiu zastaną. Niestety! nadzieja prędko zgasła. Przyszła druga depesza: „Wszystko skończone." Wszystko skończone! straszne te słowa brzmią, jak odgłos dzwonu pogrzebowego.

Całą drogę jechali w milczeniu, boleść serca ich przygniatała, wszystko było im obojętne, jedna tylko myśl ich zajmowała, że on już nie żyje, że to gorące serce, najwznioślejszych uczuć pełne, teraz zimne i martwe, już bić przestało.

Na stacyi kolei w L. czekał na nich Franciszek, stary, wierny sługa zmarłego pana.

Śnieg gęsty padał, wszystko białym całunem pokrył; już widać wysokie drzewa, zdaleka słychać ponury głos dzwonu, jakgdyby tęskną powtarzał skargę: „Wszystko skończone! wszystko skończone!

Wszystko tu zwiastuje żałobę, i te drzwi kirem okryte i ten stół czarny, na którym duży srebrny krucyfiks stoi. Weszli, długo wstrzymywane łzy teraz

obficie popłynęły. Zastali tu już p. Denevers'a, przybyli i rodzice Janka, mnóstwo było osób im nieznanych, a na wszystkich twarzach widać głęboki smutek wyryty. Tylko na bladej twarzy zmarłego jakiś błogi spokój rozlany. Taki spokój tylko dusz wielkich i sprawiedliwych jest udziałem, i jakby aureolą śmiertelne ich szczątki otacza.

— Jaki on piękny!—Janek i Gabryela mówili do siebie, składając pocałunek na jego zimnem czole, na które srebrne spadały włosy.

Uklękli, by w modlitwie wypłakać łzy, które ich dławiły.

W pracowni wszystko o nim mówiło, tu znakomity jego talent w całym blasku się objawiał. Nie mogli bez silnego patrzeć wzruszenia na jego ostatnie studya, które im tak żywo przypominały chwile, z nim razem w Bretanii tak niedawno spędzone.

Ostatni jego obraz prawdziwem był arcydziełem, z taką potęgą pędzla, z taką siłą uczucia oddał artysta „Powrót łodzi w Douarnenez". Jego fale morskie, to prawdziwe żywe fale. Nic tam starości nie zdradza; bo jego starość tyle miała młodzieńczego ciepła, a w sercu tyle było gorących i wzniosłych uczuć, że natchnienie, z tego źródła płynące, wydać musiało owoc, w którym czysty ideał miłości i piękna jaśnieje.

Aurelia, chcąc ich boleść uśmierzyć, ostatnie chwile zmarłego opowiadała:

Umierając, nie cierpiał, zgasł odrazu. Choroba cztery dni trwała, przedwczoraj jeszcze pan nic sobie z niej nie robił, a wczoraj było już źle Lekarz wyraził swoje obawy i powiedział: „Jeżeli do jutra lepiej nie będzie, trzeba zawiadomić przyjaciół." Ja miałam jeszcze nadzieję, ale się nie polepszyło. Wieczorem było konsylium, doktorzy znaleźli stan niedobry.

Pan zażądał notaryusza, a potem księdza, który był jego przyjacielem. Potem zwróciwszy się do Janka, dodała: On o panu nie zapomniał, o mnie i o Franciszku także pamiętał. Mówił później o swoim obrazie, że go jeszcze nie zupełnie wykończył... zawiele pracował—ja to panu mówiłam ale nic to nie pomogło. A co to było za serce! jak on mówił o panu Janie i o pani Gabryeli, szczególnie w nocy w gorączce. Dziś rano zdawało mi się, że gorączka jest mniejsza, wtem nagle uniósł się w górę; głowa na poduszki opadła i oddał ducha, mając na ustach imię Marceliny. O, ja tylko wiem, jak on ją kochał!

Ze szczerem zajęciem patrzyli na ten pastelowy portret, który nam już dawniej jest znany, i Gabryela rzekła:

— O! dość widzieć to arcydzieło, żeby pojąć, jak on ją kochał i, wskazując w górę, dodała:

— Tam połączyli się znowu.

Przyniesiono paczkę listów z zawiadomieniem o śmierci, w poważnem milczeniu zajęli się oboje rozsyłaniem ich na wszystkie strony. Później zjeżdzać się zaczęli przyjaciele i znajomi. Jest to ruch zwykły, który śmierci towarzyszy.

ROZDZIAŁ XLI.

Pożegnanie.

W dzień pogrzebu mnóstwo zjechało się osób z całego kraju, znaczna liczba artystów przybyła z Paryża. Dzienniki w obszernych artykułach rozniosły wieść o śmierci, która w świecie artystów przykre wywołała wrażenie. Oznajmiono także przybycie p. prefekta i dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych.

Różne krążyły pogłoski, dotyczące testamentu. Mówiono, że dom ze wszystkiem, co się w nim znajduje, przeznaczony dla Janka i Gabryeli, że jest za-

pis na rzecz Instytutu dla ustanowienia nagrody, że są sumy przeznaczone na dobroczynność, że jest także zapis dla Franciszka i Aurelii.

Wiatr był silny, orszak pogrzebowy z trudnością się posuwał. Janek szedł za trumną, którą na ramionach niesiono. Zmarły przed śmiercią wyraził życzenie, żeby obchód był skromny bez wszelkiej próżnej pompy. Zażądał tylko, żeby żałobne melodye odegrane były przez zdolnego artystę; słynny wiolonczelista D., przyjaciel zmarłego, przybył z dziewięciu najlepszymi uczniami konserwatoryum paryskiego.

Jeden z artystów opowiadał swojemu sąsiadowi, że przy wynoszeniu ciała z domu, papuga w pracowni wydawała krzyki żałobne, mówił przytem, że przypomina sobie podobny fakt na pogrzebie swojego przyjaciela. Może to był objaw zdziwienia lub przestrachu z powodu niezwykłego zgromadzenia osób nieznanych? A może też i te biedne stworzenia czują i pojmują?..

Kościół był zbyt mały, takich tłumów nie mógł pomieścić, większa część ludzi na zewnątrz została. Gabryela, przecisnąwszy się pomiędzy nimi, weszła do kościoła i zajęła miejsce w pierwszym rzędzie, dla niej przeznaczone.

Stary proboszcz, chociaż przywykł do podobnych obrzędów, z trudnością jednak nad wzruszeniem panował. Nabożeństwo zaczęto. Monotonny i przeciągły śpiew wieśniaków rozbudził dawne Janka wspomnienia. W dziecinnym wieku podobne słyszał głosy i zapomnieć ich nie może, bo one pierwsze niebo mu odsłaniały. I znowu widzi siebie dzieckiem, jak przez okienko śledzi malarza, nad rzeką przy staludze siedzącego. A ten malarz to wielki artysta, który dla niego drugim był ojcem, który dziś uśpiony na wieki spoczywa w tej trumnie, któremu on wszystko zawdzię-

cza i to, czem jest, i całe szczęście swoje; przez niego poznał Gabryelę. A on, niestety! nie zbudzi się więcej.

I z głębi jego zbolałej duszy wyrywała się skarga. O! czemuż, czemuż on się już nie zbudzi!.

Aż oto z góry z pod dziesięciu smyczków płynie melodya cudna, elegia najwznioślejsza „Pożegnanie“ Mozarta. Pieśń rzewna, jak skarga Anioła boleści, zrazu cicha, jak tchnienie zbolałej duszy, zwolna stopniowo wzmacnia tony i w głośny płacz przechodzi, aż wreszcie rozdzierającym jękiem się odzywa.

Z pieśni tej powiał smutek niezmierny, lecz spokojny i łagodny, bo ta boska melodya nie jest głosem beznadziejnej szalonej rozpaczy, ni groźbą pomsty i gniewu Bożego, jak Dies irae; tu nuta nadziei dźwięczy i ciche łzy bólu łagodzi i pieśń, gorzką skargą we łzach zaczęta, kończy się hymnem pociechy i w uniesienie najwyższej miłości przechodzi.

I pod wpływem tej muzyki, jakgdyby pod działaniem cudownej siły, boleść Janka i Gabryeli doznaje ukojenia, nadzieja serca ich ożywia i myśl jasna błysnęła: „O! nie, ze śmiercią nie kończy się wszystko! On żyje i tam w światłości wiekuistej napawa się rozkoszą najwyższego Piękna, o jakiem my tu na ziemi pojęcia mieć nie możemy.“

I oboje, jakgdyby jedną tylko duszę tworzyli, jednakowem uczuciem natchnieni, siłą wyobraźni unoszą się w krainę nieskończonej miłości twórczej i ich siostrzane dusze widzą tego wielkiego artystę—przyjaciela, którego opłakują, w chwale niebieskiej jaśniejącego. Bo ten, co przez miłość stwarzał szczęście na ziemi i innym je dawał, stworzył przez to dla siebie, jako nagrodę od Boga, swą chwałę niebieską.

Miłość wzniosła porusza i tam wysoko zapładnia atomy nieskończoności, to kochać—to tworzyć!

K O N I E C.